Miesięcznie 1 zł.
prenumeratę przyjmuje każda poczta

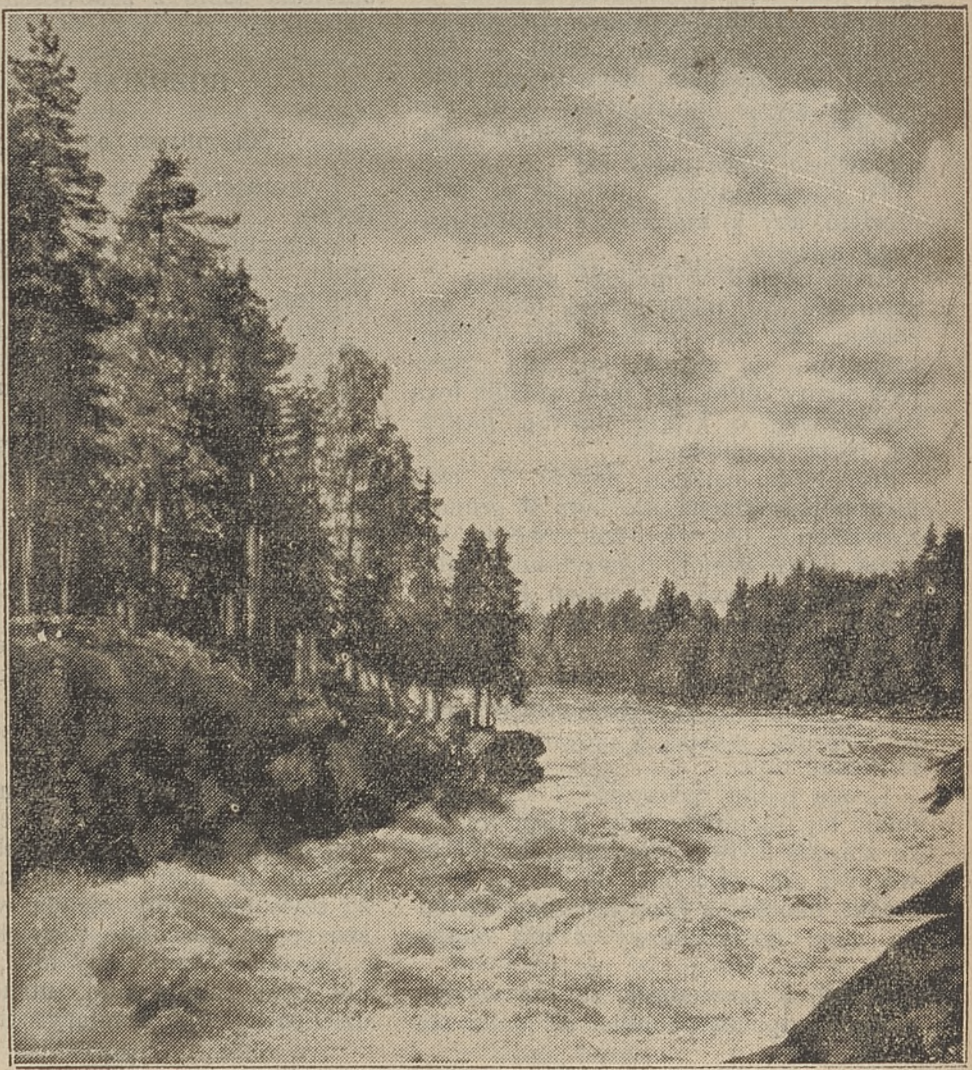
1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok IV. Niedziela, dnia 6 grudnia 1936 r. Nr. 49





Dokoła biało: Legły kobierce śniegowe,
Jako niezapisane, czyste życia karty,
Każdy krok mój zostawia ślad na nich niestarty,
Na bieli nieskalanej znacząc plamy płowe.

Oglądam się za siebie na stóp moich ślady, —
Wyżłobiły wśród śniegu szarą, nową drogę,
Choć ich w mgłach oddalenia rozpoznać nie mogę
— Zakłócają harmonię srebrzystej ballady.

Jednak wierzę niezłomnie, że jutro tak samo
Płaty śniegu się znowu posypią srebrzyste,
I znowu będą wielkie płaszczyzny przeczyste,
Nie zbrudzone ni jedną szaro — płową plamą.

Dlatego chociaż przeszły przewroty dziejowe,
Chociaż się krew polała purpurową strugą —
—Wszystko—kiedy minęło—zapomną niedługo,
Pełne wiary w moc własną, pokolenia nowe.

M. Mszczycka.

WOJCIECH HOLM

10)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

I posedł jednego dnia nas jegomość, ksiądz probosc na górę i peda: A cemu córki nie posyłacie do skoły, a cemu jom nie biezecie do kościoła, a cy to się godzi tak po pogańsku chować dzieci? A stara w płac i w lament, ze jest niescęśliwa, ze ma tylko jedno dziecko i ze ono jakieści nieudałe i całkiem nierozumne i cości ma, pomiesane w głowie. Więc jom jegomości pociesali, a stara mu na to mówi, ze ta dziewczyna na widok obcego, zarazi wpada w jakiś gniew i bije i kąsa i ze oni dlatego słuzący nie mogom tsymać. Więc się jegomość litował bardzo nad nimi i jesce raz tam posedł do nich, ale tej dziewcyny nigdy tam nie widział.

Leon słuchał tego opowiadania z ogromną ciekawością.

— A czy ona naprawdę wariatka? — spytał, gdy pasterka skończyła.

Kaśka była naprawdę o tem przekonana, gdy tak mówiła, rozumiejąc, że gdyby dziewczyna była zdrowa, to oniby sobie przecież ani takiego nieszczęścia, ani takiej hańby nie wymyślali i używaliby ją do roboty na polu. Mówiła dalej:

— Dziewcyna siedzi zawse w ogródecku, stary Fellhuber wystawił mur taki wysoki az do nieba, a ona se tam wyśpiewuje i gra, ze az się serce raduje, jak się słysy to śpiewanie. Ale jak se kto stanie pod murem i słucha, to Fellhubery psychodzom i zaraz go odganiajom. Nie ksycom ino mówiom spokojnie: A nie mozeta ostawić w spokoju biedny opętany dziewcyny? Jakby ji chto co złego robił. — Hej krasa! — zawołała dziewczyna, przerywając swoje opowiadanie — nie idzi no do psepaści, bo jesce spadnies, głupie zwieze, jesce zabije się.

To powiedziawszy, pobiegła za zwierzęciem, aby je zawrócić z niebezpiecznego miejsca.

Leon popadł w głęboka zadumę. Opanowała go nieprzeparta chęć, aby zdabać, czy owa cudna dziewczyna, która mu się zjawiła jak jaki czarujący senny obraz, nie była właśnie ową dziewczyną, o której mówiła pasterką, jakby o opętanej.

Był teraz całkiem pewny, że owa piękna dziewczyna nie była li sennem zjawiskiem, lecz, że rzeczywiście widział istotę żyjącą. Uprzytomnił sobie tę czarującą postać z całym jej ujmującym wdziękiem. Widział te myślące ciemno-niebieskie oczy pięknego dziewczęcia, z ciekawością utkwione w siebie i pomyślał, że w tem pięknem ciele, również piękna i wzniosła dusza mieszkać musi.

Leona paliła ciekawość i chęć zbadania tej tajemnicy. Gdy Kaśka wróciła ze zbiegłą krową, wiedziała, że jej towarzysz nie ma ochoty do dalszej pogawędki, chociaż z początku taką ogromną chęć do rozmowy z nią okazywał.

Wstał i powiedział, że już wystarczająco odpoczął i musi iść dalej. Żegnając się z nią, dał jej srebrną monetę, którą mogła sobie wpleść we wstążkę swoich warkoczy i żartując, uszczypnął ją w jej okrągły policzek i odszedł.

Zdziwiona tem nagłem pożegnaniem i niespodziewanym darem patrzyła Kasia naprzemian to na monetę, to znowu za oddalającym się obcym.

W myśl porównywała smukłą postać obcego z kwadratową, niezgrabną figurą swego kochanka, który służył w tym samym co i ona dworze, jako parobek. Teraz uświadomiła sobie brzydotę jego piegowatej twarzy w porównaniu z pięknem, delikatnem obliczem Leona.

Westchnęła, ale wkrótce pocieszył ją widok srebrnej monety o tyle, że zaśpiewała sobie z zadowoleniem znaną piosenkę.

ROZDZIAŁ XXX

Na murze ogrodowym

Tymczasem Leon wracał tą samą drogą.

Maszerując szybko, przybył wreszcie zadyszany znowu przed dom Fellhubera.

Tam rozglądał się uważnie, ale nie widział nikogo. Dom wyglądał pozornie tak, jak po wyjściu Adelajdy i Marcina.

Nagle usłyszał głos nie wyszkolony jeszcze, ale nadzwyczaj miły sopran, śpiewający przy gitarze smętną pieśń opuszczonej dziewczyny, sieroty, bez ojca i matki, tęskniącej do śmierci i do zimnej mgły, na którejby rosły róże.

Wreszcie niewidzialna śpiewaczka umilkła i piosenkę swą zakończyła akordem na gitarze.

Leon słuchał tej pieśni ze wzruszeniem.

Znowu obudziło się w nim bardzo żywe pragnienie ujrzenia tej zagadkowej dziewczyny. Zdecydował się wdrapać się na mur, nie zważając na to, że czyn ten byłby zdradą wobec tych, którzy go gościnnie przyjęli.

Starannie wzniesiony mur, w którym nie było żadnej luki, utrudniał młodzieńcowi jego zamiary. Gdy wreszcie z wielką szkodą swej garderoby wdrapał się na górę, ukazał się jego oczom widok nadzwyczaj ponętny.

Zdawało mu się, że ujrzał kawałek raju, który się tu przez wieki utrzymał nieuszkodzony.

W tem otoczeniu zobaczył ową cudną dziewicę, którą owej nocy ukazała mu się w domu Adelajdy i od tej pory nie ustępowała z jego myśli.

Dziewczyna mogła mieć lat około szesnastu a wysmukła jej kibić była pełna ponętnego wdzięku.

Biała, skromna suknia, staromodnego kroju, złote, bujne włosy, spadające w naturalne sploty i związane niebieską wstążką, stanowiły dla oka miły widok.

Nie myśląc o tem, że opala się na słońcu, zrzuciła słomkowy kapelusz i oparłszy głowę na ręku, siedziała zadumana, nie widząc, że jej biały, cudowny gołąb opierał swój dzióbek o różany policzek swej pani.

Nieostrożne poruszenie Leona wyrwało ją z zamyślenia.

Zobaczywszy go na murze, zerwała się aby uciec. Ale Leon widząc to, złożył ręce błagalnie i zawołał: Zaklinam cię pani, zostań, byłbym nieszczęśliwy, gdybym wiedział, żem ci przeszkodził.

Na to dziewczyna stanęła i niezdecydowana patrzyła to na niego, to na otwarte drzwi domu.

— Niech się pani nie gniewa — przepraszał Leon — żem się ważył rozproszyć twą samotność, ale pragnienie zobaczenia niewidzialnej śpiewaczki i owego cudnego zjawiska nocnego nie dało mi spocząć i przezwyciężyło wszelkie skrupuły.

Te ostatnie słowa zatrwożyły widocznie młodą dziewczynę.

— Niech mnie pan nie zdradzi — prosiła — Adelajda łajałaby mnie.

Domyślił się od razu, że ona mówiła o tem, iż w nocy zakradła się do jego pokoju i powiedział:

— Może pani być zupełnie spokojną, żadna siła na świecie nie wydrze mi tej tajemnicy.

Dziewczyna uspokoiła się widocznie i patrzyła z uśmiechem w górę na niego.



Radosny światek dziecięcy wyległ znowu gremialnie na świeże powietrze, ale tym razem, aby powitać pierwszy śnieg i posaneczkować.

— Myślałam, że pana już niema — rzekła — Adelajda powiedziała, że pan rano już poszedł.

— Muszę się przyznać, żem bez jej wiedzy wrócił — odrzekł Leon — bo myśl o cudnym zjawisku nie dała mi spokoju.

Ach, żeby tylko Adelajda nie wróciła, gdyż byłaby strasznie zła.

— Nie boję się Adelajdy — odpowiedział Leon z uśmiechem.

— Ale ja — przyznała dziewczyna i bardzoby mi żal było, gdyby ona pana za mnie wydała.

To naiwne wyznanie i serdeczny wzrok, jaki na niego rzuciła, wprawiły go w zachwyt. Gorąca chęć zbadania tajemnicy, wzmogła się jeszcze u niego.

— Dziewczyna ta nie może być córką Fellhuberów — pomyślał — nie była także pomyloną, ani nie miała pomieszania zmysłów.

O starej Fellhuberowej wspomniała tylko po imieniu, jak o matce nikt nie mówi i bała się jej widocznie. Coby w tem być mogło? Co Fellhuberów mogło skłonić do tego, żeby o tej dziewczynie rozsiewać także wieści?

Aby jednak podtrzymać rozmowę i upewnić się, że ona nie ucieknie, zapytał: kiedy wróci ta straszna Adelajda.

— O tej porze roku wracają zwykle w południe — odpowiedziała piękna dziewczyna. — Potem Marcin zajęty jest koło bydła, a Adelajda przyrządza obiad.

— O jeszcze dużo czasu jest do południa — rzekł Leon, spoglądając na zegarek — czy mi pani pozwoli zostać, czy mnie pani wypędzi?

Ona pozwoliła Leonowi zostać i skarżyła się, że żyje tak samotnie, jej tak smutno na duszy; bo Adelajda nawet gdy jest w domu, to mówi bardzo mało, a Marcin powtarza wciąż te same historie.

— Więc nie ma pani żadnej rówieśnicy z którąby się pani mogła od czasu do czasu schodzić — spytał ze współczuciem Leon.

— Proszę — rzekła dziewczyna — nie mówić mi pani, tylko tak, jak mówi Adelajda, Hortensjo.

Leon był zachwycony tą nieświadomością form światowych u Hortensji, ale spytał jeszcze:

— Czy mogę sobie pozwolić na taką poufałość.

— O tak, proszę, bo to pani to tak zimno brzmi, jakby się pan gniewał na mnie.

— Dobrze, ale pani musi w takim razie mówić mi Leon.

— Chętnie — zapewniała niewinna dziewczyna — jakie pan ma piękne imię, jeszcze nigdy takiego imienia nie słyszałam. Leon, Leon — powtarzała sobie półgłosem.

Waldau zachwycał się. Własne jego imię nigdy mu jeszcze tak przyjemnie nie brzmiało, jak teraz, wymówione temi różowemi ustami.

— Czy Leon ma rodziców — spytała potem Hortensja.

— Niestety, nie, umarli przed kilku laty.



Wiedeński mistrz łyżwiarski, Schäfer, zaręczył się z córką wynalazcy sztucznego lodu, panną Engelmann, z którą ma zamiar wstąpić, z początkiem nowego roku, w związek małżeński.

— A rodzeństwo — zapytało dalej cudne dziewczę.

— Nie, jestem sam na świecie — odpowiedział Leon.

— O, to panu gorzej jeszcze niż mnie — zawołała Hortensja ze współczuciem — ja mam przynajmniej Adelajdę i Marcina, którzy dla mnie są dobrzy i kochają mnie.

W książkach, które mi Marcin przynosi z miasta, dziewczęta mają rodziców i rodzeństwo. O jakże ja im zazdrościłam; one nigdy nie są same, a ja tyle godzin przepędziłam tylko z gołąbkiem swoim.

Pogłaskała ptaszynę i pocałowała jej białe upierzenie. Leon przypatrywał się zachwycony tej cudownej sielance. Obudziło się w nim uczucie, jakiego jeszcze nigdy przed tem nie doznawał.

Idealnie piękna dziewczyna wywarła na nim potężne wrażenie swojem niewinnem i naiwnem zachowaniem się.

Kobiety, które do tej pory poznał, należały po największej części do półświatka. Jako młody, żądny użycia człowiek, żyjący w wielkim mieście nie zawsze mógł oprzeć się pokusom, jakiemi one go nęciły. Nie jedną noc przepędził z lekkomyślnymi towarzyszami w towarzystwie dziewcząt wątpliwej reputacji.

Teraz porównywał Leon czystość, niewinność i dziecinność Hortensji z brakiem kobiecości i lekkomyślności kobiet, które się prawdziwego wdzięku pozbyły.

Przypomniał sobie piękny wiersz Heinego i szeptał go sobie półgłosem:

Ty jesteś luba jak kwiat,
Tak piękną, czystą, powiewną,
Gdy patrzę na cię, pierś ma
Boleścią ściska się rzewną...
Na głowę twą chciałbym dłoń
Położyć z modlitwą śpiewną,
Oby zachował cię Bóg
Tak piękną, czystą, powiewną...

Hortensja nie zważała na niego, tylko pieściła gołąbka swego, który zdawał się dzióbkiem zdejmować z ust jej niewidzialne ziarnka.

— O jak mnie całuje — wołała Hortensja zachwycona.

— Szczęśliwe stworzenie — odpowiedział na to Leon.

Ona jednak nie zrozumiała znaczenia jego słów i rzekła:

— E, jemu wcale nie jest tak dobrze. „Cherie“ nie jest tak szczęśliwy.

— Skąd przyszłaś na to, żeby tego ptaka po francusku nazwać?

— To francuski wyraz? Nie wiedziałam o tem — rzekła Hortensja — nazwałam go tam, bo bardzo ten wyraz lubię. Kiedy byłam jeszcze bardzo mała i mieszkaliśmy w wielkim mieście, przychodziła do nas bardzo często jakaś młoda, piękna dama i dawała mi zawsze łakocie i zabawki. Kochałam ją bardzo i byłam później bardzo nieszczęśliwa, gdy ona już więcej nie przychodziła.

Leon odgadywał teraz tajemnicę Hortensji.

Musiała być dzieckiem nieprawego łoża, patrzył na nią ze współczuciem.

Taka piękna — pomyślał — tak obdarzona hojnie darami natury, a jednak bez przyszłości. Samotnie, bez wszelkiej radości przepędziła młodość w tym więzieniu. Czyżby i na przyszłość nie miała zaznać czegoś lepszego?

Leon wcale nie był zadowolony z odkrycia owej tajemnicy.

Odczuwał dla Hortensji wielką sympatię, której jednak nie mógł nazwać miłością. Była to raczej litość, podziw, pełen szacunku i współczucia dalekie od zmysłowej namiętności, której doświadczał nieraz tak, że łudził się co do stanu swego serca.

Używał teraz całą piersią czaru rozmowy z Hortensją i nie mógł się wyrwać z tej sielanki, trwając w niewygodnej postawie na murze, słuchał z zachwytem każdego jej słowa i byłby tak stał może godzinami nie czując zmęczenia, lecz nagle Hortensja zawołała trwożnie, patrząc na słońce:

— Południe się zbliża, niech pan stąd idzie, bo Marcin i Adelajda wnet bowiem nadejdą. Niech pan już idzie.

— Idę, ale po południu wrócę, dobrze?

— Ach, jak to będzie przyjemnie — zawołała radośnie Hortensja — będziemy sobie znowu wesoło gawędzić.

Rzuciła mu na pożegnanie całusa ręką, on zaś powiewał kapeluszem w powietrzu i zgrabnym skokiem zniknął za murem.

Gdy go już nie było widać, Hortensja przycisnęła rękę do serca, które jej biło gwałtownie i zwróciła się do gołąbka.

— Nie gniewaj się, Cherie, ale ja jego więcej kocham niż ciebie.

Postanowiła nic nie mówić Adelajdzie, bo ona wypędziłaby Leona.

— A ja wypłakałabym oczy ze zgryzoty — myślała Hortensja.

Wzięła do ręki gitarę i uderzyła kilka akordów, ale jakoś gra jej nie szła. Zwróciła się więc do róż, aby się jak zwykle zachwycać ich upajającym zapachem i kolorem.

Zdawało się jej jednak, że z kielichów róż wyglądają do niej oczy Leona, szepnęła więc czule:

— Leon, Leon!

Stała zamyślona i zapomniała o wszystkiem, co ją otaczało i słuchała tylko z zachwytem nieznanego głosu serca.

ROZDZIAŁ XXXI

Leon jak pijany szedł przed siebie, nie bacząc na drogę. Przed nim daleko ciągnęła się piękna okolica. Lecz on nie widział jej piękności, zajęty tem, co się działo w jego sercu.

Rzucił się na trawę.

Motyle latały w koło jego głowy, woń macierzanki unosiła się nad nim, a on leżał w stanie półsennym i marzył.

Porównywał on Hortensję z aniołem, który w swym odosobnieniu nie zetknął się z brudem świata. Zdawało mu się że widzi jej niebieskie oczy, w których odzwierciadla się cała niewinność jej duszy.

Na jej rysach, pełnych wdzięku, czytał jej niewinność i słyszał ją w dźwięku jej głosu. Przypomniał sobie jej śpiew, pełen jakiejś tęsknoty, jednem słowem marzył w ekstazie.

Nareszcie ściągnęło go z krainy poezji prozaiczne uczucie głodu, ponieważ od śniadania nic nie miał w ustach.

Zeszedł więc na dół, na gościniec, gdzie znalazł oberżę, w której kazał sobie podać skromny obiad.

Posiliwszy się, siadł przed oberżą i patrzył przed siebie.

Biały dom Fellhuberów na wzgórzu, świecił białością mimo wielkiego oddalenia, które jednak wydawało się mniejsze z tej przyczyny, że dom był tak lśniąco biały.

Widział mur ogrodowy i mimowoli nadsłuchiwał, czy nie usłyszy głosu Hortensji.

Potem zobaczył Fellhuberów wychodzących znowu z domu; wstał prędko, aby nie stracić ani chwili rozmowy z Hortensją.

Wprzód jednak zapewnił sobie nocleg w domu gościnnym.

Szybkim krokiem wstępował potem na górę.

Wspiąwszy się na mur, widział Hortenzję niespokojnie chodzącą po ogrodzie.

Ale gdy zobaczyła jego, wypogodziła się zaraz jej twarz.

— Leonie — zawołała radośnie — myślałam, że już nie przyjdziesz.

Uszczęśliwiony Leon, uczuł, jak mu krew uderza do głowy.

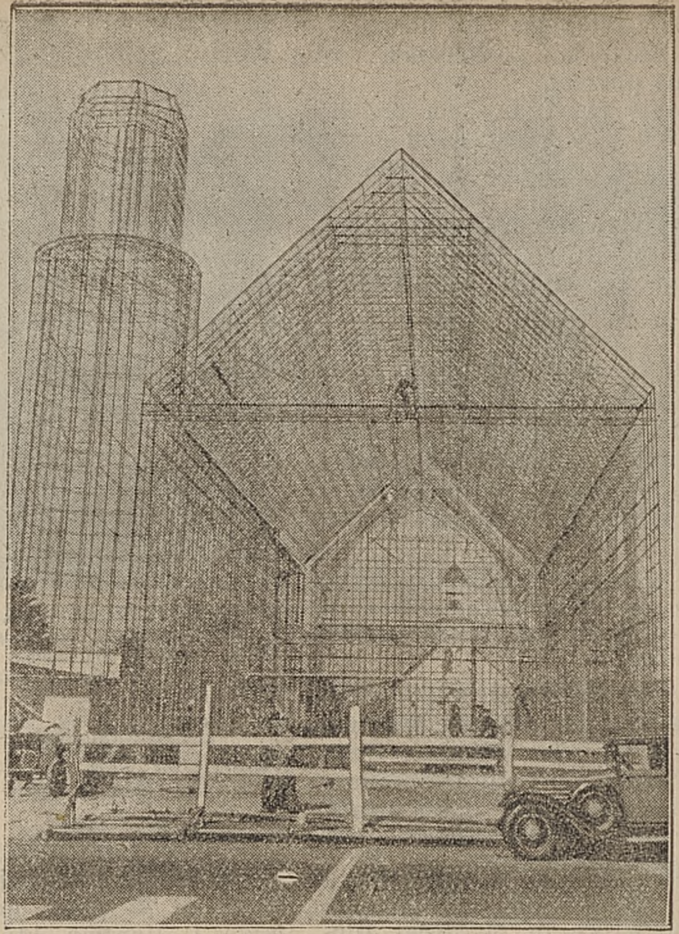
Ta niewinność, nie ukrywająca swoich uczuć, była wzruszająca.

Leon poprzysiągł sobie, że żadnem słowem, żadnem nawet spojrzeniem niewinności tej nie splami.

Hortensja powiedziała mu, żeby zeskoczył do niej na dół do ogrodu. Lecz on był na tyle delikatny, że nie słuchał tego wezwania i pozostał w swej niewygodnej pozycji na murze.

Gawędzili sobie, jak starzy przyjaciele.

Ona opowiedziała mu nieliczne ważniejsze wypadki swego życa. Potem śpiewała pieśni, które nauczyła się od przechodzących ludzi, albo sama ułożyła sobie melodie i słowa.



W Culver City (Kalifornia) buduje się nowy kościół pod wezwaniem św. Augustyna. Na zdjęciu widzimy olbrzymi szkielet stalowy, gdyż kościół tem będzie zbudowany z żelbetonu.

Leon zachwycał się jej darem muzykalnym. Bardziej jeszcze dziwiła go ta nieświadomość dziewczyny, co do najpospolitszych rzeczy życia codziennego.

Hortensja umiała czytać, pisać i rachować, trochę religii, historię i geografię. Lecz Leon zachwycał się właśnie tą jej naiwnością.

W naszej epoce przerafinowania umysłowego i duchownego, w której każdy podlotek bardzo jest wykształcony a właściwie nic nie umie, wszystko wie, a właściwie niczego nie rozumie i przy każdej sposobności produkuje się swojem wykształceniem i narzuca się swoimi wiadomościami, w tej to epoce, święta nieświadomość Hortensji wydała się Leonowi czemś nadzwyczaj miłem, świętem i oryginalnem.

Z jakiem naturalnem zdziwieniem przysłuchiwała się ona i wyrażała podziw nad jego mądrością. Jak prędko i oryginalnie zużytkowywała wiadomości od niego czerpane.

Leon widział, że to jest rozum niewiekowy wprawdzie, ale bardzo bystry.

Szybko zbiegło im popołudnie.

Leon żegnał się taki smutny, jak gdyby to miało być pożegnanie na wieki, a ona patrzyła za nim ze łzami w oczach.

Umówili się jednak wprzód, że nazajutrz zobaczą się tak samo.

Leon był oczarowany wdziękiem Hortensji.

Nie mógł myśleć o niczem innem. Obraz jej wciąż stał mu przed oczyma.

Piękność jej, cała dziwna jej istota wywarła na nim tak magiczne wrażenie, że całe jego jestestwo było tem wzruszone. Uważał ją za mistrzowskie dzieło natury, przed którego czarem nie mógł i nie chciał umknąć.

Ale czystości jego uczuć nie zmąciła dotąd żadna myśl o ziemskiej miłości, żadne życzenie posiadania jej.

Nastąpiły dla kochających się dni sielankowego szczęścia.

Kochali się nie wiedząc o tem, bawili się jak dzieci ogniem, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa.

Leon kilka godzin dziennie przepędzał na murze. Hortensja okazywała nowe wdzięki, przedstawiała się Leonowi z nowej strony, on zaś codziennie bardziej się do niej przyzwyczajał.

Po tysiąc razy powtarzał, że się musi wydrzeć stąd, że jest jego obowiązkiem uciec z czarującego pobliża Hortensji, a jednak został, więzy nie dały się już porwać, cała jego siła normalna rozpłynęła się w potędze miłości, której dotąd nie znał, a Hortensja czy podzielała uczucia Leona? Czy w jej niewieściem sercu było miejsce na uczucie namiętności? Osądź sam, drogi Czytelniku lub piękna Czytelniczko. Patrz, jak jej się oczy błyszczą i twarz się jej rumieni, gdy patrzy na niego, patrz, jak jej wzrok wisi na jego ustach, kiedy mówi, przypatrz się jej, jak wygląda, gdy jego niema, jak tęskni i marzy marzeniem pierwszej, cudownej miłości, zaniedbuje swego gołąbka, nie zajmuje się wonnemi różami, gitara leży bezczynnie obok niej. W śnie i na jawie jedną ma tylko myśl o Leonie. Rycerski młodzieniec wydaje jej się promienistym bokiem zniżającym się do niej łaskawie, zdaje się jej być wyższym ponad wszystko ziemskie i ona w myśli stawia mu ołtarz, na którymby siebie ofiarowała chętnie.

Hortensja zaś zmieniła się tak, że zmiana ta cudem tylko uszła bystremu wzrokowi Adelajdy.

Był to czas żniw i Fellhuberowie musieli cały dzień do późnego wieczora prawie bez wypoczynku pracować na polu. Wracali więc do domu bardzo zmęczeni i temu zmęczeniu należy przypisać to, że Adelajda nie zauważyła co się dzieje. Nie podejrzywała też Leona, żeby mu przez myśl przeszło wracać do ich samotnego domu i nie przeczuwała, że los Hortensji uległ tak wielkiej zmianie.

Upłynęło więc młodym kilka dni w niezmąconym szczęściu.

Leon stracił rachubę czasu.

Zapomniał o tem, że miał wracać na studia do miasta, zapomniał o całej swej przyszłości i żył tylko teraźniejszością.

Przez cały czas jego pobytu w tej wiosce górskiej, panowała przepiękna pogoda na niebie, aż dopiero pewnego dnia całe niebo zaciągnęło się groźnemi chmurami.

— Burza nadchodzi — rzekła Hortensja — proszę iść, nim Adelajda nadejdzie.

Leon usłuchał jej prośby i poszedł do gospody, w której mieszkał.

Stamtąd widział on Fellhuberów wracających do domu.

Widząc ich zrozumiał, że już tego dnia nie będzie się mógł widzieć z Hortensją.

Tymczasem chmury rozszerzyły się tak, że zakryły całe niebo, gęsta mgła podnosiła się z dolin, powietrze było wilgotne, mroczne i nieprzejrzyste.

Leon chodził po górach, w okolicy domu Fellhuberów, lecz niebawem mgła tak zgęstniała, że prawie nic nie widział przed sobą i z trudem tylko znalazł drogę do gospody.

Pod wieczór zaczął padać drobny, gęsty deszczyk, błyskawice rozjaśniały od czasu do czasu ciemności i powiał chłód miły.

Rolnicy cieszyli się deszczem, który zwilżał spieczone skwarem słonecznym pola i bez troski wszyscy udali się na spoczynek.

Nazajutrz obudził Leona niebywały jakiś wrzask, jakiś głuchy łoskot i gwar.

Zerwał się i pobiegł do okna.

Zobaczył natychmiast, że było to oberwanie chmury i z sprzestworza lały się istne strumienie wody na ziemię.

Rzeczka górska zazwyczaj skromna i nieszkodliwa, wezbrała dziś w ogromna rzekę, płynącą z błyskawiczną szybkością, rwąc za sobą skały, drzewa i rozmaitego rodzaju przedmioty.

Leon z trwogą we wzroku, szukał dworku Fellhuberów.

Widok, jaki się tam przedstawił, przewyższał jego najgorsze oczekiwania.

Ze wszystkich stron zleciały z gór białe, szumiące strumyki i ogromną siłą uderzały w dworek Fellhuberów, tymczasem z drugiej strony zagrażała mu wezbrana rzeka.

Już runęła jedna ściana podmyta wodą. Biada więc mieszkańcom domu, przeciwko którym sprzysięgły się rozhukane żywioły.

Leon zbladł z ogromnego przerażenia i struchlał ze zgrozy w pierwszej chwili — gdy ujrzał ulegający zniszczeniu dom, w którym mieszkała Hortensja.

Sygnały oznajmiające niebezpieczeństwo, przebrzmiały w oddali.

Z okrzykiem nadludzkiej trwogi wyrwał się Leon z odrętwienia.

Z szalonym pośpiechem zarzucił na siebie niedbale odzież i wybiegł szybko, aby, jeśli wogóle ręka ludzka mogła tam zaradzić, ratować w ogromnem niebezpieczeństwie istotę, która była dla niego najdroższą na świecie.



W ostatnich tygodniach zwiedzał Europę pewien hinduski maharadża. Między innymi zwiedził i Niemcy. Na powitanie zgotowano mu wielkie owacje. W niemały zachwyt wprowadził maharadżę słoń, który został na jego cześć b. pięknie wytatuowany.

ROZDZIAŁ XXXI.

Ostatni gulden

Zuzanna Mayer z triumfem przybyła do domu z nowym kostiumem.

Ku wielkiemu swemu niezadowoleniu nie zastała męża w domu, nie mogła mu więc go pokazać.

Aby się za to zrewanżować, wdziała czerwony kostium, włożyła na głowę kapelusz i spacerowała przed lustrem, rzucając w nie spojrzenia, pełne podziwu dla samej siebie.

Żałowała jednak, że nie widzą jej ludzie z Königswalden. Ale całą radość psuło jej to, że mężą tak długo nie było.

Dopiero po kilku długich godzinach rozwarły się z trzaskiem drzwi i wszedł Mayer zziajany i rozgorączkowany.

— Daj mi 30 guldenów, Zuzanno, które ci dałem onegdaj — rzekł — potrzeba mi pieniędzy.

Ona spojrzała nań niepewnym wzrokiem.

— Ogłuchłaś? — zawołał niecierpliwie — czy co ci się stało? Ja jej mówię, że mi trzeba pieniędzy, a ona gapi się na mnie, jak cielę na nowe wrota.

— Popatrz, jaka ja jestem ładna — przywitała go Zuzia — jakby hrabina.

— Twoja panna Janka jest taka głupia jak ty — mówił ze złością Mayer — nie chcę nic zresztą wiedzieć i słyszeć, tylko pieniędzy mi dawaj.

— Nie mam — wyjąkała Zuzanna.

— Nieprawda — krzyknął Mayer — przez jeden dzień nie mogłaś wydać na łakocie tyle pieniędzy.

— Kupiłam sobie tę ładna suknię — przyznała się Zazanna z wahaniem.

— A to może grom człowieka trafić — krzyknął rudy — żeby sobie sprawić taką czerwoną, małpią szmatę, wydając na nią ostatni grosz. W przeciągu kilku tygodni, ta lekkomyślna baba wydała tysiąc reńskich.

— To nie prawda, to niemożliwe — wołała Zuzia z oburzeniem.

— Koniec z naszemi pieniędzmi — mówił z wściekłością Mayer. — Wiesz wiele nam zostało z wszystkich pieniędzy?

— Ile? — spytała Zuzanna trwożliwie.

— Raptem jeden gulden został z niedzieli w mej pluszowej kamizelce. Teraz musimy się rozejrzeć za służbą, aby zarobić pieniędzy na podróż do Ameryki. Ja pójdę do koni, a ty będziesz prać i prasować.

Jutro zaczynamy pracować.

Zazanna zbladła i odpowiedziała z wielka stanowczością:

— Nie, Józefie, tego nie zrobię.

Jeżeli ci się zdaje, że mi się zechce tułaj chodzić z koszem po bieliznę, to się mylisz. Ja nie chcę pracować, ja chcę się bawić. Jeżeli mi na to nie dasz pieniędzy, to ja się sama o nie postaram.

— Jakim sposobem? — spytał on, kładąc swą ciężką, grubą rękę na jej barki.

— Nie duś mnie tak, to boli.

— Słuchaj, Zuziu — rzekł Mayer ochrypłym głosem — jeżeli chcesz sobie przykład brać od tej Janki, to będzie to twoja ostatnia godzina.

— Ależ ja nie chcę nic złego robić — rzekła Zuzanna przestraszona — tylko nie mogę wrócić do tej nędzy, w której żyliśmy dotychczas.

Wolę się rzucić do Dunaju. Ty jesteś mężczyzną, ty masz zarabiać na dom.

Czy możesz żądać ode mnie, żebym ja dom utrzymywała?

— Któż o tem mówi? — odparł on ponuro — razem pracujmy na chleb.

— Ja sobie nie mogę psuć rąk ordynarną robotą — mówiła Zusia — gdybyś nie był grał w karty i nie przegrał...

— Nieprawda, marnych parę guldenów. Kot nie najadł się tem, cobyś za nie kupiła.

— Raz parę guldenów i drugi raz i znowu... Przyznaj się, że znowu powracasz od kart.

— To ciebie nic nie obchodzi. Twoich pieniędzy nie przegrywam. Tyś mi nie wniosła ani centa w posagu.

— Fe — wstydziłbyś się teraz mi to przypominać. Idź lepiej i postaraj się o pieniądze.

— Pójdę zastawić zegarek i łańcuszek.

Sprzęty nasze domowe sprzedałem już i nie dostałem za nie nawet trzeciej części tego, cośmy za nie zapłacili.

— Na miłość Boską — przecież one były jeszcze nowe.

— Nowe czy stare, wszystko jedno, więcej za nie nie chcieli dać.

To rzekłszy, chciał wyjść. Lecz ona nie miała ochoty zostać sama ze swymi smutnymi myślami, rzekła więc:

— Idę z tobą. — Wzięła go pod ramię.

Tak też poszli do miasta.

Wszystkie banki zastawnicze już były pozamykane, bo było już późno, jeden tylko znaleźli otwarty.

Nieśmiało weszli do wnętrza. W pokoju byli dwaj mężczyźni. Jeden z nich stał za stołem, z marmurową płytą, przy którym zwykle wypłacano pieniądze, drugi siedział przy innym stole i oglądał kilka srebrnych zegarków.

— Jezus! Marja! — zawołała Zuzia, zobaczywszy go — to Moszko.

Podbiegła do niego i podała mu rękę.

— Może masz znowu taki dobry los jak ten, jakiś raz sprzedał memu mężowi?

— Nu, nu, człowiek nie siedzi wciąż w losach — odpowiedział Moszko opryskliwie, biorąc słowa Zuzanny za drwiny.

Rzeczywiście sprzedał on niedawno rudemu Mayerowi los, który jednak nie wygrał.

— Raz się wygra, drugi raz nie — ciągnął dalej — ale co wy tak po pańsku wyglądacie? Musicie mieć pieniądze.

— Jakto? Ty nic nie wiesz — odpowiedziała śmiejąc się Zuzia — przecież sam memu mężowi wypłaciłeś tych tysiąc reńskich.

Moszko spojrzał na Mayera i zrozumiał w wzroku jego prośbę, żeby go nie zdradził, bo kobiety o wszystkiem nie powinny wiedzieć.

— Ach, tak — rzekł na to Moszko przeciągle — jesteście tak po pańsku ubrani, żem was naprawdę nie poznał.

— A co ty tu robisz, Moszko? — zapytała ciekawie Zuzanna.

— Ja tu jestem dla interesów — odpowiedział Moszko całkiem spokojnie — kupuję u mego współwyznawcy zastawione przedmioty, które przepadły i sprzedaję je znowu na wsi.

— Może chcesz oglądnąć moje pierścionki, zegarki, łańcuszki i kolczyki?

— Nie, nie — zaprzeczył Mayer, znając chęć strojenia się Zuzanny — powiedz nam lepiej, jeżeli jedziesz z domu, co się stało naszemu staremu panu hrabiemu, że umarł?

— Więc były dwa wspaniałe pogrzeby? — spytała Zuzia.

— Przecież starego Gerharda nie chowali z wielkiemi ceremoniami — rzekł żyd.

— Ależ kto mówi o Gerhardzie? — rzekła Zuzia — myślę o hrabiu Wernerze.

— Hrabiego Wernera — żeby spoczywał w spokoju! — Jak mogli jego pochować, kiedy nawet nie znaleźli jego trupa. Nikt nie wie, gdzie się podział, od czasu, jak wyjechał z Felseg.

Mayer zbladł śmiertelnie, usłyszawszy te słowa.

Otworzył usta i patrząc na nich szeroko otwartemi oczyma, wyglądał jak osłupiały.

— Boże! — zawołała Zuzia, nie zauważywszy na twarzy swego męża zmiany — nawet w poświęconej ziemi nie leży nasz dobry, młody, piękny pan! — To straszne.

— Kto go widział wyjeżdżającego z Felseg — spytał szybko Mayer.

— Alojzy — odpowiedział Moszko — zresztą nikt, bo tam nikogo oprócz niego nie było. Kiedy baron Egon przyjechał do Felseg, aby zawiadomić hrabiego Wernera o śmierci jego dziadka i nie zastał go tam.

Mayer odwrócił się udając, że ogląda obrazy na ścianach. W jego duszy wrzała straszliwa walka. Stał na rozdrożu. Dotychczas był uczciwym człowiekiem, teraz pokusa w nim walczyła.

— Hrabia żyje — mówił mu głos wewnętrzny — baron Egon więzi go. Jeżeli teraz wrócę do Felseg i uwolnię go, będzie to dobry uczynek, ale mnie samemu nie wyjdzie to na dobre i gorzko skrupi się na mnie, bo Alojzy zdradzi, że ja pomagałem hrabiego zamknąć w podziemiu.

Nikt mi nie uwierzy, jeżeli powiem, że to z rozkazu starego hrabiego. Baron Egon znienawidzi mnie, powie, że ja działałem w porozumieniu z nim i ja pójdę do kryminału. Przez ten czas co będę siedział w kryminale Zuzia zejdzie na psy i spodli się, gdy zaś wrócę, znajdę ją...

Zgrzytnął zębami i zacisnął pięście. Żonę znał bardzo dobrze i nie mylił się co do niej. Mimo to, kochał ją bardzo i dla niej gotów był poświęcić nawet swoją uczciwość. Piękność jej pociągała go jeszcze zawsze.

— Ile mi dasz za mój łańcuszek i zegarek — spytał teraz Moszka, pokazując mu drżącą ręką obydwa przedmioty.

— Ho, ho, ho — mruczał Moszko — Józef ma zegarek jak jaki baron, ja takich rzeczy nawet nie mogę kupować, bo ja handluję tylko z biednymi ludźmi, a to dla nich będzie za drogie.

— Pokaż mi pan tu ten towar — zawołał właściciel banku zastawniczego, z poza swej kraty.

Józef podał mu zegarek i łańcuszek a on przypatrywał mu się bacznie.

— Czterdzieści guldenów, dam za to wszystko — rzekł.

— Ja dałem za to więcej niż sto guldenów — zawołał Mayer gniewnie.

— Ja temu nic nie winien — odpowiedział właściciel banku obojętnie — chcesz pan zrobić interes, to dobrze, a nie, to drugie dobrze.

— Bardzo dobry interes, on bardzo dobrze płaci — szeptał Moszko Mayerowi — weź nim się rozmyśli.

Mayer zabrał śpiesznie swój zegarek.

— Oszukać się nie dam — rzekł gniewnie — chodź Zuziu, pójdziemy gdzieindziej.

— Zaczekajcie — prosił kupujący — jeszcześmy nie powiedzieli ostatniego słowa, dodaję jeszcze guldena, zgoda.

— Wcale nie — mówił Mayer wściekły — myślisz pan, że zechcę panu zegarek podarować? Nawet mi się nie śni.

Pociągnął Zuzannę za sobą i poszedł.

— Niech idą — szepnął Moszko towarzyszowi — oni wnet wrócą.

— Co to za jedni? — spytał ten ciekawie.

— To stangret Mayer z żoną — odpowiedział spokojnie Moszko.

— Ale przecież byli ubrani, jak jacy państwo — mruknął drugi.

— To prawda, ale kieszeń ich jest pusta — mówił Moszko — a chyba do tej pory nikt już niema otwartego sklepu. Co?

— Nikt — odpowiedział przyjaciel.

— A więc masz ich w kieszeni — mówił Moszko, w duchu zaś żałował, że się nie wypytał Mayera o tych tysiąc guldenów i że nie wziął od niego adresu.

Tymczasem Mayer tak prędko szedł przez ulicę, że Zuzia ledwie mogła nadążyć.

Od czasu do czasu przechodnie stawali i patrzyli za nią.

Wprawdzie mieszkańcy Wiednia dość są przyzwyczajeni do niezwykłych strojów, ale dziwaczny kostium górski Zuzanny zwracał jednak uwagę.

Zuzia z zadowoleniem uważała, że patrzą na nią, co jej próżności bardzo pochlebiało.

Uśmiechała się błogo, podczas gdy Mayer dręczył się myślą, że ma do wyboru, albo hańbę swej żony, albo zbrodnię.

Idioto głupi, czy nie pozostaje ci jeszcze jako rzecz najlepsza — praca.

ROZDZIAŁ XXXIII.

Kielich sorbetu

Sylwii ani na myśl nie przyszło, że to dla niej nie wypada składać wizyty baronowi. Miłość jej dla Wernera była tak wielka, że przed nią ustępowały wszystkie drobiazgowe względy.

Przybywszy do zamku oglądała się za służbą. Nareszcie usłyszała na końcu korytarza pokasływanie i zobaczyła starego Edwarda z tacą pełną naczynia.

— Czy pan baron jest? — spytała go.

Stary ucieszył się niezmiernie jej widokiem.

— Myśleliśmy już wszyscy — mówił — że panience co się stało!

— Jak widzicie, jestem zdrowa i nic mi nie brakuje — odrzekła Sylwia uprzejmie i powtórzyła swe pytanie.

— Jest, jest w domu, czy zameldować?

— Proszę.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

10)

Niebezpieczny Gość

Powieść

— A...? To pan?... — rzekł, ujrzawszy trzymającego się za głowę, Franciszka. — Silnie pana uderzyłem? Nie... No, widzi pan. Nie trzeba podsłuchiwać pod drzwiami.

Zdzisław podszedł do nich, mierząc lokaja badawczym, podejrzliwym wzrokiem.

— Ja nie podsłuchiwałem — usprawiedliwiał się mocno zmieszany Franciszek. — Usłyszawszy obcy głos, przystanąłem tylko na momencik i...

— I za ciekawość został pan dotkliwie ukarany — zaśmiał się Kazimierz. — Całe szczęście, że drzwi otwierałem ostrożnie... Ale w przyszłości może być o wiele gorzej — dodał z dziwną intonacją w głosie.

Zdzisław strzygł niespokojnie uszami. Dlaczego Kazimierz skłamał?... Przecież wcale nie otwierał drzwi ostrożnie, lecz umyślnie wypadł tak gwałtownie...

Kazimierz nie widział, lub udawał, że nie widzi jego pytającego spojrzenia. Przypomniawszy coś sobie, zwrócił się do lokaja:

— Pan Krański skończył już swą drzemkę? Czy może nas przyjąć?

— Pan jest w ogrodzie — odparł Franciszek. — Czy mam go powiadomić?...

— Nie potrzeba — rzucił Zdzisław. — Pójdziemy do niego do ogrodu.

Kiedy znaleźli się na tarasie, Zdzisław pociągnął przyjaciela za rękaw.

— Dlaczego — rzekł — skłamałeś przed Franciszkiem i groziłeś mu?

— Bo co?

— Powiedziałeś mu przecież: „...w przyszłości może być o wiele gorzej"...

Dziennikarz roześmiał się.

— Wiem, czego chciałbyś się dowiedzieć, ale nic z tego. Tak nie jest, jak myślisz. Chciałem go tylko zastraszyć i przestrzec, aby na drugi raz nie podsłuchiwał pod drzwiami — nic więcej.

Zdzisław popatrzył mu w oczy i roześmiał się również.

— Wiesz — rzekł — gdybyś był moim wrogiem, naprawdę obawiałbym się ciebie. Przegrywałbym na każdym froncie, gdyż już naprzód odgadłbyś moje zamiary względem ciebie i paraliżowałbyś je, zanim zdążyłbym wprowadzić w czyn.

— Wyolbrzymiasz moje skromne zdolności, mój drogi.

Śmiejąc się, zapuścili się w bujną, pachnącą zieleń ogrodu.

W tym czasie dziewczyny znajdowały się również w ogrodzie. Objąwszy się rękoma, przechadzały się po szerokim ganku, zarośniętym po obu stronach wysokiemi krzewami. Rozmawiały z ożywieniem.

— ...Zdaje mi się, że on zainteresował się tobą — mówiła Janka. — Zauważyłam, że wodził za tobą oczyma. Napewno podobasz mu się...

— Przesadzasz, Jano — odrzekła lekko nadchmurzona Irena. — Zresztą choćby tak było, to i tak nic z tego nie będzie.

— A gdyby się oświadczył?

Irena potrząsnęła głową.

— Nie dojdzie do tego.

— Co jemu masz do zarzucenia?!...

— Nic. Nie znam go przecież.

— Nie. Widzę, że masz mu coś do zarzucenia. Mów!

— Skoro się tak napierasz, to powiem, że nie mogłabym go pokochać, gdyż mi się nie podoba ta jego pewność siebie i wogóle całe jego zachowanie. Jest indywidualistą... Patrzy na mnie, jakbym już była jego, a ja... o!

Zamilkła naraz, gdyż jakiś cień padł na nią. Błyskawicznie podniosła oczy i stanęła jak wryta. Twarzyczka jej pokryła się ciemnym rumieńcem, gdy zobaczyła przed sobą obydwóch młodzieńców.

— Przeszkodziliśmy paniom w miłej rozmowie — zaśmiał się dyskretnie Zdzisław, widząc, że nagłe spotkanie zaskoczyło dziewczyny.

Kazimierz przywitał się z Janką, poczem podszedł do mocno zmieszanej Ireny i wysunął się z nią naprzód.

— Dlaczego pani tak się na mnie zawzięła? — zapytał bez żadnego wstępu, podtrzymując jej rękę. — Bo to o mnie była mowa, prawda?

Irena podniosła oczy i napotkała jego śmiejące się, zaczepne spojrzenie. Zagryzła usta.

— Pan się mylisz — odrzekła trochę niepewnym głosem. — Wcale nie o panu rozmawiałyśmy, a tylko o... o...

— O kim?

— Właśnie, że nie powiem panu.

— E, panno Irenko. Na co te wykręty? Wiem, że o mnie była mowa.

— A choćby o panu, to co? — rzuciła odważnie.

— Więc o mnie?

— Pan jest zarozumiały — odrzekła z ironią w głosie.

Zajrzał jej wesoło w oczy.

— Powiedziała pani, że jestem indywidualistą. To prawda, jestem nim. Dalej, że jestem „za bardzo pewny siebie". I to prawda. A choć to się pani nie podoba, nie zmienię się jednak, bo takim jestem już od dawna. Od siebie dodam jeszcze, że jestem także upartym i gdy raz coś przedsięwezmę, nie cofam się już nigdy.

— Ja także nie zmieniam tego, co raz postanowię.

— To się dopiero pokaże. Wyczuwam w pani kobietę z charakterem, ale mężczyźni są silniejsi. A ja przecież jestem mężczyzną i do tego... „zawsze pewnym siebie".

Przekomarzali się na wpół poważnie, na wpół żartobliwie. Irena odzywała się chwilami nieśmiało, chwilami zaś, widocznie pod wpływem nagłych postanowień, swobodnie, czasem nawet gorączkowo.

Dziennikarz wyczuwał intuicyjnie, że zrobił na dziewczynie silne wrażenie, a tylko ona nie chce przyznać się do tego. To też przyglądał się jej badawczo i z takim zainteresowaniem, jakby ją pierwszy raz widział. Coraz częściej nachylał się nad nią, a ona, widząc magnetycznie czarne oczy zupełnie blisko swej twarzy, cofała się instynktownie. Irena zlękła się. Widziała, że jego oczy wywierają na niej ogromny wpływ i podświadomie czuła, że zostanie pokonana... Ale mimo tego przekonania postanowiła bronić się do ostatka.

W tyle idący Zdzisław objaśniał tymczasem Jance, że w sprawę anonimów wtajemniczył młodego dziennikarza, który dołoży wszelkich starań, aby zdemaskować oszczercę.

A Kazimierz, mając przy boku Irenę, zapomniał prawie o Bożym świecie. Odczuwał ogromne zadowolenie, gdy mógł zaskoczyć nagłemi pytaniami rezolutną dziewczynę. Radował się, gdy mógł ją wprowadzić w kłopot. Chciał koniecznie „utemperować" tę zarozumiałą dziewczynę. To też nie kwapił się teraz do spotkania z panem Krańskim, który w tym czasie znajdował się w przyległym do ogrodu parku. Siedział tam na ławeczce, pod trzema, przy sobie rosnącemi, brzozami w towarzystwie Tulczyńskiego.

Rozdział XI.

Janka nie mogła zasnąć tej nocy. Przyjemne i powabne, to znowu jakieś niepokojące marzenia owładnęły jej umysłem. Przed oczyma jej wyobraźni przesuwały się widziadła jakieś, frapujące obrazy,

a z każdego z nich spoglądały na nią piękne piwne oczy, takie wyraziste, że aż strach.

Jednym rzutem młodego ciała usiadła na łóżku i szeroko otworzyła oczy. Księżyc poprzez zieleń drzew zaglądał oknem do sypialni i swym bladem światłem przerzedzał mroki, napełniające przestrzenie pokoju. Dziwnie tajemniczy i marzycielski nastrój panował w tym półmroku.

Dziewczyna nadsłuchiwała przez chwilę, poczem zwróciła głowę w stronę uchylonych drzwi przyległego pokoju i zawołała przyciszonym głosem:

— Ira!... Iruś!...

Jednakże niczem nie zamącona cisza panowała w sypialni kuzynki. Irena musiała być pogrążona w błogim śnie.

Janka nie namyślała się dłużej. Odrzuciła z siebie nakrycie i wyskoczyła z łóżka. W negliżu podeszła do okna i wyjrzała niem na zewnątrz. Była pogodna ciepła nocka, której ciszę przerywał jedynie chóralny śmiech młodych głosów, od czasu do czasu dolatujący od strony wioski, oraz czystym tenorem śpiewana tęskna i beznadziejnie smutna piosenka ludowa.

— Wymarzona noc dla kochanków...

Młodą dziewczyna drgnęła. Odezwało się w niej to dziwne, tęskne uczucie, które nie umiała nazwać. Przed nią, w ogrodzie, zieleniły się, oblane światłem księżyca brzozy. Uczuła nieodpartą chęć zagłębić się w tę bujną, pachnącą zieleń i tam pomarzyć sobie samotnie wśród ciszy nocnej...

Odwróciła się od okna. W całej willi panowała głęboka cisza — wszyscy spali już pewnie. Spojrzała na zegarek. Było dopiero pół do jedenastej. Ucieszyła się. Pół do jedenastej?... To wieczór jeszcze. A Irena już dawno pogrążona we śnie. A to śpioch z tej dziewczyny. Flirtowała zawzięcie z przystojnym dziennikarzem, więc zasnęła tak prędko i pewnie teraz śni o nim. Ale nic to. Sama przejdzie się po ogrodzie... Samotna nocna przechadzka wśród zieleni, przy świetle księżyca, miała romantyczny urok dla młodej dziewczyny.

Pospiesznie wciągnęła sukienkę, na bose nogi wsunęła maleńkie pantofelki i wymknęła się na korytarz.

Drzewa szumiały cichutko i uroczyście, gdy weszła do ogrodu, a srebrne promienie księżyca drżały na ciemnych liściach ozdobnych krzewów.

Dziewczyna była oczarowana i zarazem trochę zalękniona. Rozejrzała się dookoła. Jakże to wszystko wygląda inaczej w nocy. Za dnia, zdaje się, że cała natura uśmiecha się do ciebie, teraz zaś, przy bladem świetle księżyca, wszystko wydaje się dziwnie tajemnicze i niesamowite: każdy cień robi wrażenie kosmatej poczwary, która porusza się, grozi i wykonuje jakieś niebezpieczne podskoki...

Janka zawahała się. Zaraz jednak pomyślała sobie, że przecież nie jest już dzieckiem, aby bać się niewiadomo czego w swoim ogrodzie, w czasie, gdy na wsi chodzą jeszcze ludzie. Śmiało więc wąskim ganeczkiem pobiegła w miejsce, gdzie w pewnem oddaleniu od willi, wśród krzewów bzu, znajdowała się mała ławeczka, poza altaną, ulubione miejsce jej dumań. Chwil kilka siedziała w zupełnem bezruchu. Podparłszy rękoma głowę, zapatrzona w widniejący pomiędzy zielonemi gałązkami księżyc, oddała się marzeniom...

Ale gdyby ktoś zapytał ją w tej chwili o czem tak myśli, nie umiałaby naprawdę odpowiedzieć. Wiedziała tylko, że dzieje się z nią coś nieokreślonego: jakaś namiętna tęsknota rozpierała serce i owładnęła całą jej istotą.

Drgnęła dopiero, gdy głośny szmer dał się słyszeć w pobliżu. Nastawiła uszu. Słychać było wyraźnie lekkie ostrożne kroki. Opanował ją niepokój, nie ten przed grożącym niebezpieczeństwem, lecz taki, jaki odczuwamy w chwili, w której spodziewamy się, że stanie się dla nas coś bardzo doniosłego. Jakieś przeczucie mówiło, że nadchodzi ważny moment w jej życiu. Bowiem swą intuicją wyczuła, że zbliża się ON... Czuła już na sobie jego gorące spojrzenie...

Odwróciła głowę. Przed nią stanęła tak dobrze jej znana sylwetka młodzieńca. Zauważyła, że jego oczy błyszczą niezwykle i wpatrują się w nią z uwielbieniem.

— To naprawdę pani?... — szepnął cicho Zdzisław. — O, jaka cudowna noc...

Janka nie zdziwiła się, jakby spodziewała się jego przybycia. Nie zastanowiła się nawet skąd tutaj wziął się tak nagle. Posunęła się na ławeczce i, ogarnąwszy suknię, wskazała obok siebie miejsce przybyłemu.

Zdzisław nie poruszył się. Dziewczyna wyglądała tak pięknie w długiej sukience, z rozwichrzonymi włosami, a światło księżyca dodawało jej tyle eterycznego wdzięku, że spoglądał na nią z jakimś nowym, niedowierzającym podziwem. Stał przed nią dłuższą chwilę i patrzył...

Dopiero obudzony cichym, figlarnym śmiechem dziewczyny, przysiadł się do niej i gorącemi ustami przylgnął do jej ręki.

— Pst!... — szepnęła, widząc, że chce coś powiedzieć. — Nie psujmy uroku ciszy...

Milczeli więc oboje, ale za to słychać było głośne, przyspieszone bicia ich serc rozkołysanych i żywsze tchnienia ich płonącego oddechu.

Byli sam na sam wśród zieleni, bez obawy, że znajdzie się świadek ich spotkania. Do takiego spotkania wzdychają zawsze zakochani, ale gdy ono nadejdzie niespodziewanie, to zazwyczaj czują się dziwnie onieśmieleni, jakby nie umieli do dwóch zliczyć.

I oni milczeli zbyt długo.

Zdzisławowi, kiedy patrzył na siedzącą obok siebie piękną dziewczynę, przychodziła nieodparta chęć wziąć ją w objęcia i wycałować aż do zapamiętania jej kuszące, aksamitne usteczka. Silniejszy jednak wolą umiał się poskromić, tembwięcej, że miał w pamięci nie tak dawne zajście na korytarzu. Czuł jednak dobrze, że z upływem każdej sekundy wola jego słabnie. Był dziwnie wzruszony. Zdradzał się ze swym stanem głośnem biciem serca i nerwowem drżeniem całej swej postaci.

Musiał wreszcie poddać się uczuciom jakie nim wstrząsnęły do głębi, kiedy się ujrzał sam na sam z istotą tak uroczą i od dawna już ubóstwianą w najskrytszych marzeniach.

Kiedy w następnej chwili Janka podniosła oczy, ujrzała jego ramię zupełnie blisko swego i twarz jego blisko swej twarzy. Spojrzała na niego zdziwiona. Piwne oczy gorzały mu ciemnym ogniem i brwi zbiegły się na czole.

Janka zlękła się. Nie widziała go nigdy takim. Uczyniła ruch, jakby chciała zerwać się z ławki.

On chwycił ją za rękę. Pożerał ją oczyma.

— Pani się mnie boi, panno Janeczko? — zapytał dziwnym szeptem.

— Ależ, nie... nie. — Przysunęła się i wyciągnęła doń rękę.

Ta serdeczna ufność rozbroiła młodzieńca. Wzburzenie rozpłynęło się w jednej chwili.

— Przepraszam — szepnął Zdzisław. — Byłem naprawdę szalony...

Uśmiechnęła się przyjaźnie.

Zdzisław już bez uniesienia objął ją ramieniem. Wyczuł jak drgnęła. W milczeniu wziął jej rączkę i podniósł do ust.

Janka nie oponowała. Nie wyrwała ręki, ani nie odsunęła się od niego, bo jej jakoś dobrze było w silnym młodzieńczym objęciu. Pchana jakąś nieznaną siłą, przytuliła się do niego, że czuł ciepło jej młodego ciała. Wsparła główkę o jego ramię i przymknęła oczy...

Zdzisław przytulił dziewczynę do siebie, patrząc z rozkoszą na jej falujące piersi i rozchylone w przyspieszonym oddechu usteczka. Raz jeszcze pochylił się do jej ręki.

Ciąg dalszy na str. 915.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

ADRESY

O adresy, celem przesłania listów, znajdujących się w redakcji, są proszeni: „Psychoanaliza" — „Owambo" — „Armida", — „Marek" — „Babinicz" — „Niebieskooka Torunianka" — „Jasne Słoneczko" — „Samotna Kukułka" — „Lotos" — „Irka z Torunia".

CZY JEST TYLKO ZWIDEM?...

Samotna w dal idę —
A wkoło mnie szarość łąk i pól...
— Czy jest tylko zwidem
Ta pustka posępna, mroczny ból?

Samotna w dal idę —
A wicher z drzew liście odziera
I z zjadliwym śmiechem rozrzuca.
...W sercu coś łamie się, zamiera —
Złudzenia — jak liście — nie wrócą...

Samotna w dal idę —
A wkoło wciąż szarzej, wciąż mgielniej
I cisza złowrogo wkrąg dzwoni...
Smutek i zmęczenie śmiertelne —
Jak myśl — nie sposób odgonić...

Samotna w dal idę —
A wkoło mnie szarość łąk i pól...
— Czy jest tylko zwidem
Ta pustka w mej duszy, serca ból?...

Danuta Wyrybkowska.

„NIE LĘKAM SIĘ TRUDÓW ŻYCIA, LECZ SAMOTNOŚĆ MNIE PRZERAŻA"...

„Kwiat Paproci". Przekonana jestem, że już wkrótce samotność Pani zmaleje. Napewno zawitają do samotni Pani przemiłe, pełne życia i radości, listy i zniwelują monotonię wolnych od zajęć godzin.

Bardzo miły list Pani podaję do wiadomości wszystkich Sympatyków:

„Chociaż zbliża się zima, w „Krainie" zakwitnął „Kwiat Paproci". Zbliżcie się do niego, a może przyniesie Wam, jak ów legendarny kwiat, szczęście...

A teraz „ad rem": Zawsze gorąco pragnęłam, aby otrzymać posadę i niespodziewanie otrzymałam ją, ale los zadrwił sobie ze mnie, gdyż rzucił mnie na wieś, gdzie nie mam poprostu z kim rozmawiać. Nie przypuszczałam, że życie kasjerki w majątku upływa tak smutnie. Kiedy po pracy, wracam do swego pokoju, ogarnia mnie rozpacz i chociaż staram się panować nad sobą, mimowoli dławią mnie łzy. Jakże chętnie pogawędziłabym listownie skimś sympatycznym i szlachetnym. Może napisze do mnie „Czarny Olek" lub „Cis"?

Jestem blondynką o wielkich, błękitnych, smutnych oczach. Lubię szczerość, prawdę i wszystko to, co dobre i piękne. Jestem trochę marzycielką, ale to chyba nie jest przestępstwem, gdyż w takich chwilach życie wydaje się naprawdę piękne. Zachwycam się przyrodą, muzyką i chętnie tańczę walczyki, chociaż lubię i smętne tanga. Nie lękam się trudów życia, lecz samotność mnie przeraża. Podobno jestem wesoła — nie wiem! Jeżeli chodzi o lata, to mam ich 24, a jeżeli o wykształcenie, to tylko maturę. — Ładna, czy brzydka — rzecz gustu."

Pozdrawiam serdecznie całą „Krainę" i czekam z utęsknieniem na pierwszy list".



Dzisiaj, na jednym zdjęciu, przesyła nam pozdrowienia czwórka gorących zwolenników „Krainy" — „Rekin" (x), „Mundek", „Jaśko" i „Edzio". Panom tym bardzo przykro, że zdjęcie nie wypadło tak, jak powinno, ale wszystkiemu winien niedyskretny fotograf, który wszedł im w drogę akurat wtedy, gdy powracali z szalenie milej bibki.

WSZYSTKO PRZESZŁO, PRZELECIAŁO...

Popłynęły dumki moje
W cichą letnią noc,
Obudziły marzeń roje,
Tęsknot pragnień moc.

Omotały duszę moją,
Piosnki dawnych lat,
Co radują i co koją,
Jak wiosenny kwiat.

Prześniły się łąki pola,
Ojca droga dłoń,
I pachnąca czarna rola,
Siwa matki skroń.

Wszystko przeszło, przeleciało,
W zmierzchu szarych dni,
Lecz wspomnienia pozostały
I łza — co w oku lśni.

„Kresowianka
z Nowogródczyny.

CZY BĘDZIE POTRZEBNY SALOMON?

„Eros". Odnośnie do słów Pana, dotyczących prowadzenia korespondencji, muszę Panu szczerze pogratulować pięknych wyników szerzenia beztroski i pogody. Co zaś do zamieszczenia mej fotografji, to wolę nie wdawać się z Panem, ze względów zasadniczych, w dyskusję. Najlepiej będzie, gdy oddam Pański list pod „pręgierz opinji" moich Sympatyków:

„Pani Zofio! Jak się ostatnio zorientowałem, masz nielada kłopot, gdyż chodzi o to „czy pokazać się na zdjęciu, czy też jeszcze więcej ukryć". Jest to naprawdę ciężki problem do rozwiązania, gdyż jedna grupa chce tak, a druga inaczej. Według wyroku Salomona musiałabyś się chyba rozdwoić, aby zadowolić obydwie strony. Kto wie? Może to właśnie byłoby idealnym rozwiązaniem kwestii spornej.

Od siebie wysuwam następujący projekt: otóż niech każdy z zainteresowanych nadeśle Ci opis Twojej sylwetki, jak on (ona) sobie Ciebie wyobraża. Ilość trafnych (w przybliżeniu) obrazów Twojej osoby zadecyduje o wyniku sporu. Jak sądzicie, Drodzy Sympatycy, czy nie dobry projekt?...

„Tamaro"! Czy wróciłaś już? Pozdrawiam czekam na odpowiedź.

Równocześnie pozdrawiam „Słodką Psyche", może się odezwie? — „Kropelkę", (dlaczego zamilkła?) — „Szarą Dziewczynkę z Bydgoszczy" — „Starą Pannę" — „M. Ryśkę" — „Zrozpaczoną Marylę" i „Kunę Leśną".

JESZCZE MI NIERAZ WYSZEPCĄ...

„Gladiator". Jest w Panu coś z tęsknoty jesiennych pól, coś z orła zrywającego się do lotu i małego, dobrego dziecka. Nie znam Pana osobiście, nie rozmawiałam z Nim nigdy, a jednak znam. Jest mi Pan dziwnie bliski... bratnia dusza.

Nadsyłane przez Pana listy chowam sobie skrzętnie, gdyż jest w nich czyste gorące serce i poetyczna dusza. Listy te będą mi jeszcze nieraz szeptały w przyszłości, jak potrafią serca ludzkie miłować i tęsknić...

Z wierszyków wybrałam do druku: „Ukochałem"... i „Wizję".

UKOCHAŁEM...

„Dumce" —

Ukochałem me marzenia
Dla ciebie, dla ciebie...
Dziś przeciche me wspomnienia
Wiatr lasem kolebie.

Oczy, twoje oczy, oczy,
Są mojem marzeniem,
Las je w błękit wyobłoczył
Przesłodkiem wspomnieniem.

Pokochałem, „Dumko", słyszysz...
O tobie marzenia
I dziś idąc w leśnej głuszy —
Ślę Ci pozdrowienia...

„Gladiator".

W ŻYCIU JEST CZASEM, JAK W BAJCE...

„Aloha". Czy Pani zna prześliczne bajki o kopciuszku, pięknych dziewczynkach — sierotkach, lub o zaklętej królewnie? Napewno, bo któż by nie znał tych bajek! Napozór jest w nich dużo fantazji, ale jest też i ogromnie dużo prawdy. W bajkach tych walczy długo dobro ze złem i wkońcu zwycięża zawsze dobro. Tak samo jest nieraz i w życiu ludzkim. Długo ścierają się dwa wrogie elementy — dobro i zło, długo częstokroć walczą chmurki z słonecznymi promykami, nim nastąpi zwycięstwo dobra nad złym i słońca nad chmurkami. Pamiętaj o tym, Dziewczynko Miła i utwierdzaj się nadal w swoich pięknych nadziejach na przyszłość.

Dopisek Twój zamieszczam niżej jak najchętniej:

„Bardzo pragnę nawiązać korespondencję skimś z Grudziądza lub jego okolic, gdyż posiadam z tych stron najmilsze wspomnienia.

„Iksuniu z Grudziądza"! Czy nie znamy się przypadkiem?

„Cesiu z Laskowic"! Jeżeli nazwisko Twoje rozpoczyna się na O. i mieszkałaś kiedyś w G., to napewno się znamy.

„Tereniu z pod Wrześni" i „Majowy Chrabąszczu" pamięć Waszą odwzajemniam również pozdrowieniami.

Chętnie nawiążę korespondencję z „Dziewczęciem Stepów".

ŻYCZĘ SZCZERZE...

„Anetka z Torunia". List zaadresowała Pani dobrze. Do „Krainy" przyjmuję Panią z radością i życzę szczerze, aby marzenia Pani spełniły się całkowicie. Do powyższego napewno przyczyni się w dużej mierze liścik Pani, który niżej zamieszczam:

„Przyjmijcie i mnie do „Krainy"! Jestem szatynką o ciemno - niebieskich oczach i jestem bardzo wesołą. Nazywają mnie różnie: „Kochanym Pilocikiem" (z tej racji, że noszę na długim nosie okulary w rogowej oprawie), „Toruńskim Piernikiem" i wreszcie „Bolszewikiem". Ta ostatnia nazwa przylgnęła do mnie na obozie w Zaleszczykach, gdyż koleżanki przekonały się, że potrafią nietylko śpiewać, tańczyć, grać i haftować, ale i bardzo ładnie gwizdać, piłować zabawki i zakładać światło.

Przesyłam wszystkim Sympatyczkom i Sympatykom siostrzane uściski i proszę o napisanie mi kilku słów. Może napisze do mnie „Czarnulka ze Świecia" — „Blanka", — „Samotna Klaruta", „Samotny Rom" lub „Bolek z Bydgoszczy". Z utęsknieniem oczekuję odgłosów z ukochanej „Krainy" słońca i szczerości".

DLACZEGO?

„Wesoła Irutka". Fotografie naszych Sympatyków zamieszczamy jak najchętniej, a więc i Pani, tak samo chętnie zamieścimy.

Zawarte w liściku wiadomości natchnęły mnie bardzo miło, tylko załączony wierszyk „Jesień", nastroił wręcz przeciwnie. Jest to utwór dość znanego poety, nie rozumiem więc, dlaczego podpisała go Pani swoim pseudonimem. Proszę, niech mi Pani, „Irutko", wytłumaczy, dlaczego, bo może moje przypuszczenia mijają się z prawdą?

CZY SŁUSZNIE?

„Ryśka D.", jedna z najmilszych Sympatyczek „Krainy" jest „oburzona". Czy słusznie — powiedzcie sami, Drodzy Sympatycy, po przeczytaniu Jej słów, skierowanych do „Takiego — jednego":

„Drogi Sympatyku! Jeżeli chcesz, aby nasza kochana Pani Zosieńka umieściła swoją fotografię, to z tym zupełnie nie zgadzam się. Dość mamy zawodów w życiu, poco więc przysparzać sobie nowych?

Wiem, że dla niejednych jest Pani Zofia siostrą, dla innych prawie że matką, a jeszcze dla innych przyjacielem. I na koniec okaże się, że osoba Pani Zofii nie odpowiada ani postaci siostry, matki, ani przyjaciela. Czyż więc nie lepiej oszczędzić sobie tego zawodu?...

„Takiego — jednego" poza tym proszę, aby nie był bardzo ciekawy, bo ciekawość to podobno tylko wada kobieca. To wszystko"...

NIE WIEM...

„Opuszczona Owieczka". Na każdy otrzymany list daję zawsze odpowiedź — nie wiem więc, jak sobie wytłumaczyć Twoje żale, „Opuszczona Owieczko"...

Postaram się dzisiaj na liścik Twój dać jak najwięcej wyczerpującą odpowiedź, aby Ci nie było przykro i abyś nie czuła więcej do mnie żalu.

Z okolic, w których zamieszkujesz, należą do „Krainy": „Bizygon ze Śląska" — „Szczera Ślązaczka" — „Wesoły Kozaczek" — „Wesoła Zosia" — „Wenus ze Śląska" i „Willy".

Pozdrowienia Twoje, „Owieczko", odwzajemniam wyrazami serdeczności i zamieszczam Twój dopisek:

„Załączam miłe pozdrowienia dla: „Blanki", „Leśnej Rusałki" — „Niny w średnim wieku" — „Białej Uajali" — „Samotnej Sosenki" — „Giaura" — „Ond - Oma" — „Wirryta" i „Erosa". Czy „Let" należy jeszcze do naszej „Rodzinki"?"

HALLO!

„Smutna Sztubaczka". Życzeniu uczyniłam zadość. „Komunikaty" podaję niżej:

„Hallo! Tu „Smutna Sztubaczka"! Wszystkim Czytelniczkom i Czytelnikom „Moich Powieści" ślę moc pozdrowień.

„Przedwiośnie"! List wysłałam i czekam na odpowiedź!

„Jurze z Borów Tucholskich"! Napisz do mnie!

„Ryśko D."! Czekam na obiecany liścik!

„Smutny Sztubaku" i „Sztubaku z pod lasu"! Proszę o adresy!

„Medyku ze Lwowa" i „Smutny Stefie", może i Wy napiszecie?!

A może Ty „Oryginale" i „Waldy"?"

„I JA NIE UMIEM TAŃCZYĆ"...

„Ada z pod Wolsztyna" przesyła „Oryginałowi", w odpowiedzi na apel, kilka „rymowanych" zdań:

I ja nie umiem tańczyć,
Choć mi chodzi o tę sztukę,
Ale postanowiłam —
Listami zapchać tę lukę.

Pisz więc do mnie choćby zaraz,
Prześlij znak „Oryginale",
A szybciutko liścik skrobnę
I do zwierzeń Cię zapalę.

ROZPACZLIWE S.O.S.

„Ku - kuk, C - a". „Strasznie chciałabym otrzymywać dużo liścików. Czy mi Pani w tym pomoże?"...

Ależ naturalnie! Pośrednictwem w takich sprawach zawsze chętnie służę. Zresztą chciałabym szczerze, aby tak samo, jak w lecie, w słońcu na plaży i na wycieczkach zdobywała Pani bardzo piękne wrażenia, tak teraz, w zimie, znajdowała je w korespondencji z Sympatykami „Krainy". Kiedy Pani znowu do mnie napisze?

A teraz kolej na Pani apel:

„Pasjami lubię pisać i czytać listy. Kocham wrażenia, życie, młodość. (Mam 19 lat). Chcę korespondować z ciekawą, bratnią rzeszą z „Krainy". Czy zechce się ktokolwiek pofatygować? Mam wrażenie, że posłyszy ktoś moje rozpaczliwe S. O. S., bo... tak strasznie się nudzę. Piszcie na adres: C-a. poczta Silno k. Chojnic — „poste - restante".

„PRAGNIEMY NAWIĄZAĆ NIĆ SYMPATII"...

„Czepczulka" i „Dziewczę do niczego" dwie przemiłe dziewczynki, Wielkopolanki, wstępują dzisiaj w szeregi Sympatyków „Krainy". W liściku swym piszą:

„Moje Powieści" czytamy od początku ich istnienia. Jesteśmy zachwycone „Krainą", dlatego pragniemy do niej należeć. Obydwie posiadamy czarne loczki i ciemne oczy. Mamy równe upodobania. Chciałybyśmy nawiązać, drogą korespondencji, nić sympatii z Czytelnikami „Moich Powieści". Równocześnie zapytujemy, czy jest ktoś w „Krainie", który w roku 1929 i 30 brał kurs gospodarstwa w Kórniku? Jeżeli tak, czy przypomina sobie Czarnego Leszka?"

W NASTĘPNYM NUMERZE

„Złote Jabłko". Bardzo mi miło, że darzy mnie Pan taką wielką, synowską miłością i zwraca się do mnie w listach tak serdecznie. Dziękuję Panu za to!

W związku z prośbą o umieszczenie mej fotografii, radzę Panu przeczytać odpowiedź dla „Ryśki D." i „Erosa", a następnie zabrać jeszcze raz w tej sprawie głos.

Wiersze przekazałam Wujkowi Januszowi. Ocena ich ukaże się w następnym numerze. Przesyłam Panu silny, ciepły uścisk dłoni!

OCZEKUJĘ Z NIECIERPLIWOŚCIĄ...

„Sotius". Życie ludzkie nie zależy od woli lekarzy, ale od woli Najwyższego, dlatego nie powinien Pan przesądzać choroby Mamusi. Może być jeszcze wszystko dobrze! Cierpliwości tylko i spokoju! Ze swej strony życzę Mamusi Pana, aby przetrwała ciężki okres choroby i powróciła jak najprędzej do zdrowia.

Z niecierpliwością oczekuję na wiadomości od Pana. Proszę, niech mi Pan opisze dokładnie o dalszym przebiegu choroby Mamusi, a przede wszystkiem doniesie, czy są widoki polepszenia zdrowia.

DLA MIŁOŚNIKÓW MORZA I PODRÓŻY

„Opuszczony Marynarz". Miłe i odważne Panie, które pociąga morze i dalekie zamorskie kraje, niech napiszą do „Opuszczonego Marynarza". Sympatyk ten przeżył już dużo w życiu, zwiedził daleki świat i zebrał masę przygód. Chętnie nawiąże z kimś korespondencję. Posiada dopiero... 19 lat. Jest blondynem o czarnych oczach. Uwielbia południowe morza. Przesyła całej „Krainie" moc całusów i pozdrowień.

UCIESZYMY SIĘ BARDZO!

„Narcyz". Z swojej wędrówki po Polsce przywiózł Pan zapewne dużo ciekawych wrażeń? O ile tak, proszę, niech podzieli się Pan nimi ze mną i Sympatykami „Krainy" — ucieszymy się bardzo!

Dopisek chętnie zamieszczam:

„Hallo! „Izarys"? Dziękuję Ci za pozdrowienia, które w pełni odwzajemniam. Czy nie mieszkała Pani przypadkiem w Kaliszu i nie bawiła dwa lata temu, na wakacjach w konińskim?

Dziękuję również za pozdrowienia „Psychoanalizie".

CZY DOBRZE?...

„Złota Jesień". Pomimo, że na świecie minęła już złota, pogodna jesień, a przyszła szara i deszczowa, do naszej „Krainy" dopiero teraz zawitała „Złota Jesień".

Uśmiechamy się wszyscy do Niej i pragniemy, aby pozostała wśród nas jak najdłużej... Czy dobrze, „Złota Jesieni"?

LIST WYSŁAŁAM

P. A. K. z G. List oczywiście wysłałam! Miłe pozdrowienia odwzajemniam mocnym uściskiem dłoni.

Teczka Wujka Janusza

BRAK CIEKAWSZEJ TREŚCI

Pani E. K. z Ch. Przykro mi bardzo, ale nowelki Pani zamieścić nie mogę. Brak w niej nietylko ciekawszej treści, ale i jakich takich zasad pisowni. Serdecznie Panią pozdrawiam i życzę Jej z całego serca polepszenia przykrej doli.

TO WSZYSTKO

„Miriam". Musi Pani jeszcze dużo nad sobą pracować — to wszystko, co mogę Pani powiedzieć. Serdecznie pozdrawiam!

ZBYT SKOMPLIKOWANA FORMA

„Ei." Nie przemawiają mi utwory o tak skomplikowanej formie, jak Pańskie. Słowa uznania oraz pozdrowienia — odwzajemniam silnym uściskiem dłoni.

W WIERSZACH CORAZ LEPSZE AKCENTY

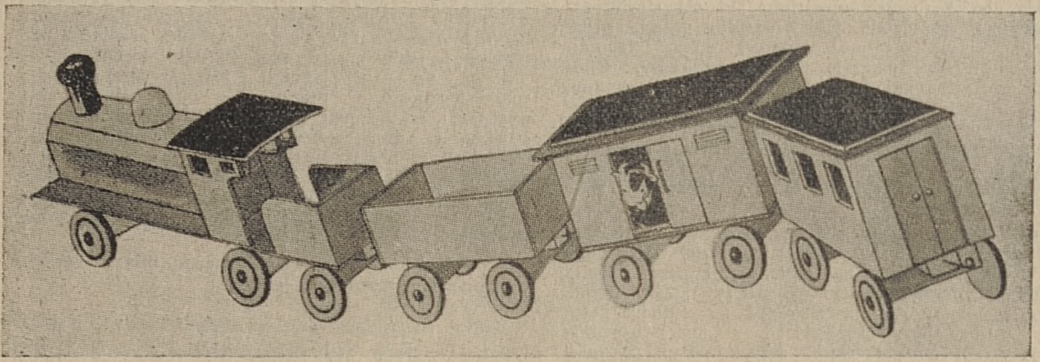
„O — O — O." W wierszach Pana znajduję coraz lepsze akcenty — winszuję Panu! Pozdrawiam i czekam na ten zapowiedziany, sążnisty list.

PRZEZNACZYŁEM NA ZAGŁADĘ

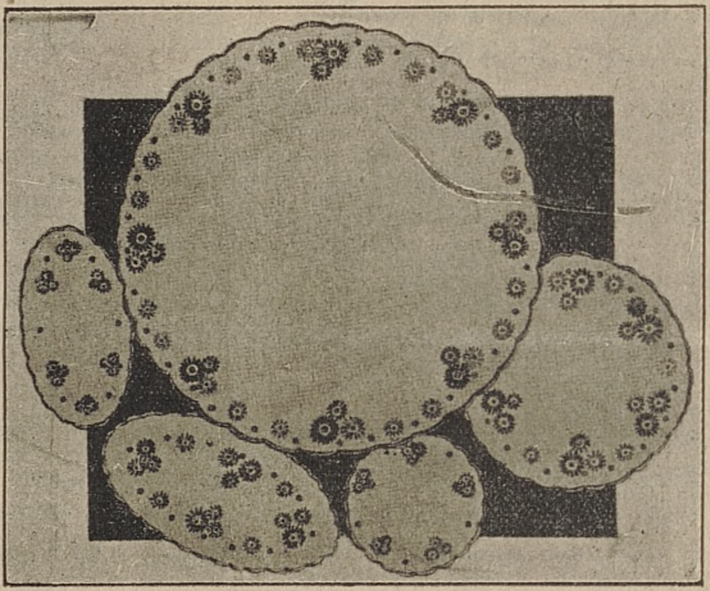
P. M. Ch. O. Wiersze: „Różaniec", „Prośba", „Dziwny jest świat" i „Jesień" — przeznaczyłem na zagładę. Czekam na nową przesyłkę i pozdrawiam!

Raj kobiet

Co podarować?



Zaledwie kilka tygodni dzieli nas od Gwiazdki, czas więc najwyższy pomyśleć o prezentach. Napozór sprawa ta wydaje się łatwą, a w gruncie rzeczy jest dość skomplikowaną. Każda bowiem z nas posiada napewno kilka serdecznych i życzliwych osób, którym wypada koniecznie coś sprezentować, tymczasem okazuje się, że zawartość naszej portmonetki ogranicza się zaledwie do kilku złotych. Co więc począć, aby przy szczupłych zasobach pieniężnych zdobyć kilka przyzwoitych podarków? Poprostu zabrać się szczerze do pracy. Kilka wieczorów lub popołudni, wystarczy najzupełniej!



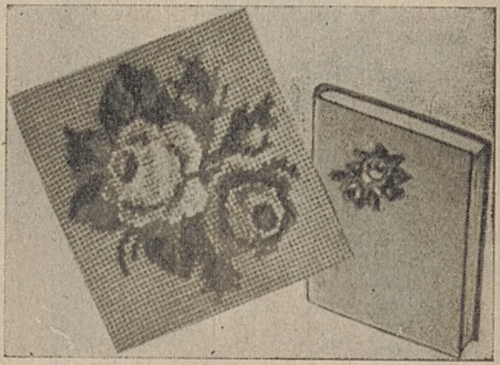


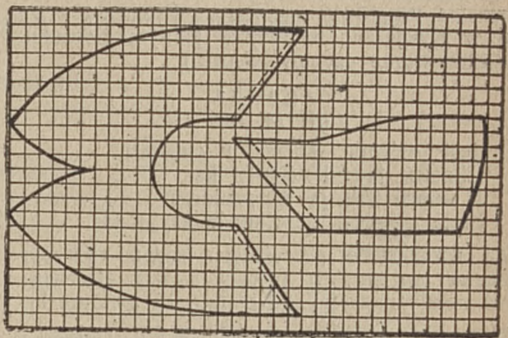
Dla mamusi robimy miły komplet serwetek **z białego płótna. Barwne kwiatki rzucone po** brzegach, nie zabiorą nam dużo czasu i uczynią serwetki miłe dla oka.

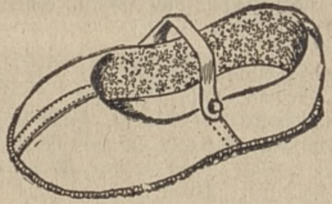
Kochanemu ojczulkowi robimy piękną teczkę na listy. W tym celu obszywamy odpowiednie kawałki tektury w szare płótno, na którym przed tym haftujemy barwny kwiatowy motyw i monogram. Podarek dla tatusia — idealny. (Wzór naturalnej wielkości na haft motywu kwiatowego można otrzymać w naszej administracji.)

Małej siostrzyczce możemy uszyć z kawałka czerwonego sukna (inny kolor również nie wykluczony!) ciepłe paputki. Możemy je ozdobić pięknym haftem lub jedwabnym pomponem. Mała napewno ogromnie ucieszy się!

Braciszkowi zrobimy „prawdziwy pociąg". Z dużego kawałka dykty, wykrajemy odpowiednią piłeczką poszczególne części wagoników, skleimy je, a w końcu, gotowy już pociąg pomalujemy. Ściany wagoników — na zielono, daszki — na czerwono, koła — na żółto. Nie zapomnijmy, także o dwóch latarniach na przedzie lokomotywy. Zrobimy je z amarantowych krążków. Im barwniejszy będzie pociąg, tym ładniejszy, a co za tym idzie, tym więcej będzie podobał się malcowi. (Wzór, potrzebny do skonstruowania pociągu, można otrzymać w naszej administracji w cenie 1,60 zł).







Pozostała jeszcze koleżanka. Tej robimy kilka opalowych, batystowych lub nansukowych chusteczek, pięknie wykończonych szydełkowymi koronkami. Prezent ten, ze względu na swą praktyczność niewątpliwie przypadnie naszej koleżance do gustu.

Oto kilka projektów na gwiazdkowe prezenty. Jeżeli któreś pani przypadną do gustu, niech nie zwleka, tylko corychlej zabierze się do dzieła. Życzę dużo inwencji przy pracy i jak największego zadowolenia z wykonanych przedmiotów! M. Z.

Dobra gospodyni

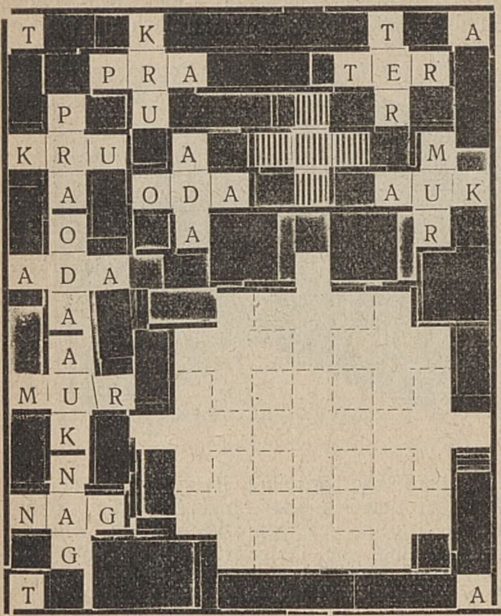
Karp na szaro. Oskrobanego z łuski karpia zmywa się, następnie przekrawa, wyjmuje wnętrzności na miskę, odrzuca jelito, i zlewa krew z ryby do miski. Do rądla dość obszernego dajemy około litra wody, małą szklankę piwa i ocet z krwią poprzednio odstawiony, różne korzenie, jarzynę jak do rosołu, kawałek cebuli i kilka ziarnek pieprzu, wkońcu rybę gotujemy około godziny. Ugotowaną rybę wyjmuje się na półmisek, a sos przecedzony zagęszcza się kawałkiem ciemnego piernika, który ma rozgotować, dodaje garstkę rodzynek sułtanek, krajanych, parzonych migdałów i dorabia smak cukrem i sokiem cytrynowym.

Szczupak faszerowany. Szczupaka oczyścić, naciąć koło głowy, i ostrożnie ściągnąć skórkę. Mięso rybie obrać, przemleć przez maszynkę, dodać bułkę namoczoną w mleku, wyciśniętą i zmieloną, masło żółtka, cebulę przesmażoną, pieprz, sól, koperek wymieszać z pianą, nałożyć w skórkę, zaszyć, ugotować w wodzie z octem i korzeniami. Podać polany masłem, sosem chrzanowym, śmietankowym. Na 1 do 1 i pół kg szczupaka, 1 bułkę, 3 do 4 jaj, 2 łyżki masła.

CHWILA ZASTANOWIENIA

Rozsypana krzyżówka

uł. F. Gałecki.



W figurę ułożyć krzyżyki tak, aby powstała normalna krzyżówka magiczna. Wystarczy przesłać w rozwiązaniu wyrazy w jednym kierunku. (Ostatni wyraz czytany wspak.)

Zagadka

uł. M. T.

Jest dziwnie lśniąca i chłodna,
Chociaż ją tuli ciepły koc
I słońce pali ją w południa —
Biała — choć wcześnie ją kryje noc.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, 11 grudnia br.

Rozwiązanie zadań z nr. 47 „Moich Powieści": **Arytmograf chemiczny:** Arsen, skand, słów, gandolin, kadn, złoto, wapn, osm, aktyn, rad, cyna utet, stront nikiel, beryb. **Całość:** Sklodowska-Curie. **Szarada:** Katarakta.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Aniela Suchorska — Poznań, Lala Piwnicka — Poznań, Zenon Wojtakiewicz — Gdynia, Julia Poratówna — Biedronków, Waleria Gockowska — Koźmin, Andrzei Sawin — Patarzyca, Wacław Kurowski — Szczury, „Eros".

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Anieli Suchorskiej z Poznania i Andrzejowi Sawinowi z Potarzycy.

Łut szczęścia

(NOWELKA).

Pan Zbigniew, Adolf Krztoń, nie mógł narzekać na los. Całe jego życie było jednym pasmem wydarzeń, świadczących o tym, że przysłowia są naprawdę mądrością narodów. Na panu Zbigniewie. Adolfie Krztoniu sprawdzało się prawie każde przysłownie, a szczególnie przysłowie o „uczucie szczęścia" bez którego zdolności i praca właściwie do niczego nie prowadzą. Szczęście miał pan Zbigniew szalone. Wiodło mu się wszystko, czegokolwiek bądź się tknął. Nic więc dziwnego, że na obliczu jego malował się zawsze uśmiech zadowolenia, a w obejściu był z ludźmi mile uprzejmy. Zmartwień nie miał. Był zdrów, trawił dobrze, cerę miał rumianą i budził w ludziach sympatię. Pracował w miarę, żył sobie lekko, gdziekolwiek się zjawił wnosił ze sobą wiele pogody i uśmiechu.

Tuż przed Bożem Narodzeniem, kiedy właśnie począł się namyślać, coby tu ze świętami począć otrzymał bardzo miły list od jednego ze znajomych, zapraszających go na wieś, w Poznańskie. Obiecano mu dobre polowanie, dobrych partnerów do brydża, dobrą kuchnię i niezłą piwniczkę. Uśmiechnął się więc radośnie, zadepeszował dzień i godzinę przyjazdu, spakował trochę rzeczy, kupił bilet, wsiadł w pociąg i pojechał.

Szczęście dopisało mu jak zwykle, bo nietylko znalazł wygodne miejsce dla palących, ale na dodatek los zesłał mu bardzo jedną sąsiadkę. — Pan Zbigniew nie był żonaty, i jakoś się niebardzo do ożenku kwapił, ale przepadał za płcią piękną i trzeba mu to sprawiedliwie przyznać, sam miał także u dam niemałe powodzenie. Rozlokował się wygodnie, zapytał czy może włożyć piżamę, na co uzyskał zgodę mile uśmiechniętej pani, zapalił papierosa i począł przeglądać wieczorne pisma.

Zanim pociąg ruszył wsiadło do przedziału jeszcze dwóch panów, którzy nie wzbudzili zachwytu nietylko pana Zbigniewa, ale także i jego sąsiadki. Najwyraźniej spojrzała na nich wrogo, co jakoś dziwnie ucieszyło pana Zbigniewa. Obydwaj osiedli naprzeciwko siebie przy drzwiach i rozpakowawszy zapasy poczęli się pożywiać. Pociąg był już za Warszawą w pełnym biegu, kiedy spożyli prawie wszystko, co wzięli ze sobą i zapalili papierosa.

Może panowie otworzą drzwi na korytarz — zwróciła się do nich sąsiadka pana Zbigniewa. Wprawdzie to przedział dla palących, ale jednak w tym dymie trudno wytrzymać... Jeden z panów otworzył drzwi bez protestu, ale drugiemu to się nie podobało, bo wzruszył ramionami. Od tej chwili zapanował w przedziale jakiś niemiły, prawie wrogi nastrój. Ciszę potęgował miarowy stukot wagonowych kół. Dwaj panowie wypalili papierosy, zasłoniwszy się od światła wiszącymi nad nimi płaszczami, poczęli drzemać. Pan Zbigniew czytał gazety i popatrywał od czasu do czasu na swoje vis a vis. Podobała mu się coraz więcej. Miała w sobie nieco efronterii, o czem świadczył lekko zadarty nosek, o dowcipnym zaś sprycie mówiły niebieskie, żywe oczy.

Pan Zbigniew patrzył w gazetę, ale niebardzo wiedział, co czyta. Przenosił też często spojrzenie na swoją sąsiadkę i na okno, w którem utkwiła wzrok. Po pewnym czasie nie patrzył już w gazetę tylko w okno. Nie interesowały go jednak gęste iskry, przecinające ciemność nocy, niby rozpalone druty, lecz... odbicie twarzy sąsiadki. Pan Zbigniew widział ją w ciemnym lustrze najdokładniej, a nawet zdawało mu się, że... i ona obserwowała go patrząc na jego odbicie w oknie...

Nagle w otwartych drzwiach przedziału zabrzmiał miły, głos kobiecy:

— Może ktoś z państwa zechce posłuchać radia...? Mamy dziś pierwszorzędny program.

— Ja, proszę — ożywiła się sąsiadka.

Panienka roznosząca słuchawki weszła do przedziału, włączyła przewodniki nad głową sąsiadki. zainkasowała należną złotówkę i zwróciła się do pana Zbigniewa:

— A może i pan, można służyć?

— Pan Krztoń pochylił głowę, jakimś niezdecydowanym ruchem.

— Włożyć? — uśmiechnęła się radiowa panienka.

— W tej chwili zdawało się panu Zbigniewowi, że sąsiadka uśmiechnęła się także. Było to jakby zachętą i zdecydowało:

— Oczywiście, proszę — rzekł, sięgając do kieszeni kamizelki po pieniądze. Panienka wydała słuchawki panu Zbigniewowi, wyszła, spojrzawszy jeszcze na śpiących pasażerów.

Pan Zbigniew mógł teraz dowoli patrzeć na swą sąsiadkę, i aby sobie to jeszcze bardziej ułatwić wziął w rękę gazetę. Ale, gdy jeszcze nie zaczął jej czytać odezwał się głos jednego z pasażerów:

— Może państwo zechcą łaskawie zgasić światło... już trzecią noc jadę, radbym się trochę przespać.

— Pan Zbigniew spojrzał pytająco na sąsiadkę:

— Czy pani pozwoli zgasić światło?

— Proszę bardzo, ja nie czytam, a radia można słuchać i pociemku.

Pasażer mruknął pod nosem, coś nakształt dziękuję i nacisnął guzik nad drzwiami. Przedział wypełniło miłe fioletowe światło.

— Pan Zbigniew był właściwie wdzięczny zmęczonemu pasażerowi, za pomysł zgaszenia światła, ale żal mu było trochę, że nie widzi dokładzie twarzy sąsiadki. Powoli jednak oswoił się z fioletowym światłem tak, że patrząc w jej kierunku miał wrażenie... że i ona patrzy wprost na niego. Począł rozmyślać nad tem jak rozpocząć rozmowę, ale przeszkadzały mu słuchawki. W pewnej chwili zdawało mu się, że sąsiadka zamknęła oczy. Patrzył więc przez pewien czas, a potem zrobił to samo. Po pewnej chwili, w słuchawkach rozległa się muzyka dyskretna i sentymentalna. Począł marzyć:

— Miła jest ta kobieta... ma wdzięk i bardzo piękne oczy... Gdybym się ożenił to tylko z taką... wysmukła, zgrabna, śmiała... Otworzył raz jeszcze oczy, i zdawało mu się, że sąsiadka uśmiecha się naprawdę jakby przez sen. Zasnęło biedactwo — rozczulił się pan Zbigniew i marzył dalej — ma coś dziecinnego w twarzy... — ujrzał się oczyma wyobraźni w pięknym samochodzie, pędzącym równo i lekko w towarzystwie „sąsiadki"... siedziała przecież blisko, blisko niego, oparta o jego ramię.. czuł ciężar skłonionej ku sobie głowy... będziesz moją żoną sąsiadeczko, szepnął jej w ucho — Uczuł teraz na sercu jej rękę i usłyszał cudne słowa:

— Tak będę twoją... jakże mocno bije ci serce... Czy ono tak mocno dla mnie...

— Tak... dla ciebie.

Nagle zabrzmiał mu w uszach szum, pisk i jakby ryk syren samochodu. Uczuł skurcz w sercu. Katastrofa! Zderzenie!?

Otworzył oczy i nie mógł pojąć, gdzie jest i jak to wszystko jest możliwe: sąsiadka siedziała naprzeciwko niego na swojem miejscu, a on ciągle czuł na swem ramieniu ciężar jej głowy i dotknięcia jej ręki na sercu. Przycisnął mocno tę dłoń i uczuł, że mu się wyrywa. Spojrzał i ujrzał, wielką, kosmatą męską łapę, a w niej swój własny... skórzany portfel!

Kiedy na najbliższej stacji oddał złodzieja w ręce policji i wrócił do swego przedziału, zastał „sąsiadkę" samą.

— Bardzo pani dziękuję, że mnie pani namówiła, żebym wziął słuchawki radiowe...

— Ależ ja pana nie namawiałam!...

— Ale w chwili, kiedy je pani brała, uśmiechnęła się pani tak zachęcająco, że i ja się zdecydowałem. A gdyby nie zaburzenia atmosferyczne, jakie mnie nagle obudziły, byłbym pewnie spał dalej smacznie, a mój portfel byłby powędrował do obcej kieszeni.

— Dziwi mnie tylko to, że pan nie czuł, jak ten złodziej wkładał panu do kieszeni rękę.

— Czułem, przez sen, ale czułem. I było to nawet bardzo miłe uczucie... nawet cieszyłem się z tego.

— Nie rozumiem. Cieszył się pan z tego...?

— Tak... myślałem, że to ręka pani...

— Moja!? Więc pan myślał, że ja panu wkładam rękę do kieszeni?!

— Nie... tylko śniłem, że czuję na sercu rękę pani...

„Sąsiadka" zarumieniła się powyżej uszu, ale nie spuściła powiek...

Tak, pan Zbigniew, Adolf Krztoń zawsze miał szczęście.

Jerzy Kossowski.



W okresie ostrych mrozów, magistraty większych miast, ustawiają na placach lub głównych ulicach piece, przy których grzeją się zmarznięci przechodnie. Najchętniej korzystają z tej dobroczynnej usługi panie, jak to widzimy na zdjęciu.

— Panno Janeczko — rzekł cichym, zdławionym ze wzruszenia głosem. — Chwila ta jest stanowcza w mem życiu. Z nią bowiem mają rozpocząć się dla mnie życie szczęśliwe, jeżeli nie dałem się uwieść złudzeniom, lub też ciężkie i bolesne nad wyraz, jeżeli złudzenia te i marzenia moje nie mają nigdy się ziścić... jeśli domysły moje okażą się mylne...

Janka słuchała go jak oszołomiona. Wiedziała co jej miał do powiedzenia. Pragnęła przeszkodzić wyznaniom, ale pod wpływem tej rozkosznej, przesyconej wonią nocy, i gorących pocałunków, wyciśniętych na jej dłoni, czuła się bezbronną wobec uczucia, jakie nią owładnęło. Nie miała siły ruszyć się. Zrozumiała, że w tej chwili jest w mocy młodego człowieka. Jednak świadomość ta nie przestraszyła jej. Przecież tym „młodym człowiekiem" jest drogi i kochany — jej Zdzich, który jej napewno nie skrzywdzi. Podniosła na niego swe duże, niebieskie oczy.

— Panno Janeczko — mówił wzruszony Zdzisław. Okłamałem panią zeszłego roku, kiedy prosiłem, abyś zachowała dla mnie trochę przyjaźni. Skłamałem i w tym tygodniu, nazywając uczucie, jakie odczuwam dla pani, tylko... najgorętszą „przyjaźnią. Bo ja cię kocham całą mocą mej duszy!

Uklęknął przed nią i wziąwszy jej ręce, całował długo serdecznie, szepcąc namiętnie:

— Kocham cię od pierwszej chwili poznania... Kocham bez miary, bez granic... ciebie jedyną... aż do szaleństwa!

Wyznanie to, aczkolwiek spodziewane, odurzyło Jankę. Słowo „kocham" z ust jego oszołomiło dziewczynę, zdawało się, że olśniło ją jakimś blaskiem nieokreślonym. Opuściły ją wszystkie siły, w głowie szumiało dziwnie, a serce biło... biło... Kocham!... Słowo to odbiło się w jej mózgu, sercu i wzburzyło jej krew uśpioną.

Nie słyszała jego słów namiętnych, nie widziała jego gorejących oczu. Wiedziała tylko, że to „kocham" do niej było powiedziane, i że to Zdzich kocha ją tak gorąco.

Żar namiętnych pocałunków, spadających gradem na jej dłonie, wrócił jej świadomość. Otworzyła oczy i niby pchana jakaś magiczną siłą, pochyliła się nad klęczącym młodzieńcem i podsunęła swe usta do ust jego...

Powstał. Objął ją i przygarnął do szerokiej piersi.

— Kochasz?... — zapytał, patrząc na jej spuszczone powieki i falujące, cudnie zaokrąglone, młode piersi.

— Ja już dawno... jeszcze zeszłego roku... tylko ciebie, Zdzi... — szepnęła, kryjąc zapłonioną twarzyczkę na piersiach ukochanego.

Zdzisław drżał ze szczęścia. Jedna była dla niego na świecie całym kobieta, jedyna, ukochana, najmilsza, ta właśnie słodka niewinna dziewczyna, która kocha go tak gorąco, prawdziwie.

— Ach, jak ja cię kocham! — zawołał, całując jej włosy, czoło, oczy. — Czyś ty tego nie widziała? Będziesz moją... Chcę ciebie mieć, Jano moja, jedyna... ukochana! Moja... moja...

Zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się do niego całem ciałem.

— Jestem twoja... Zdzichu!

Przywarł gorącymi ustami do jej ust...

W chwili, kiedy ich usta się złączyły, gałązki bzy zafalowały gwałtownie, a ciszę nocną rozdarł straszny, przerażający śmiech. Był to zgrzyt dziki, nieludzki, jak ryk krwiożerczego zwierzęcia, lub szyderczy rechot szatana.

Janka krzyknęła przeraźliwie i prawie nieprzytomna z przestrachu, zwisła bezwładnie w ramionach ukochanego.

Zdzisław odruchowo zasłonił sobą dziewczynę i podtrzymał ją. Skamieniał na sekundę. Szyderczy śmiech szatana w chwili nadziemskiego upojenia, odbił się jako uderzenie gromu w jego muzgu i poraził członki. Oprzytomniał jednak prawie momentalnie i odwrócił się prędko.

O cztery kroki zaledwie gałązki bzu falowały jeszcze, zdradzając kierunek, w którym uciekł sprawca okropnego przestrachu jego dziewczyny.

Kto to mógł być?!...

Jakaś myśl przemknęła mu przez głowę i — zdrętwiał. Nagle zrozumiał wszystko. Nie namyślając się dłużej, złożył pospiesznie dziewczynę na ławeczce i wyskoczył za uciekającym.

Na zakręcie ganku, przy bladem świetle księżyca, mignęła sylwetka uciekającego, który na moment tylko odwrócił głowę i wnet zniknął za wysokiemi krzewami. Wszystko to trwało sekundę tylko, ale sekunda wystarczała. Zdzisław zdążył zauważyć, że tajemniczy osobnik był więcej niż średniego wzrostu, o starannie wygolonej twarzy. Zdawało się mu, że zna już tę sylwetkę.

Powrócił do Janki. Zerwała się mu na przeciw. Widział przestrach w jej oczach.

— Przestraszyłaś się, Janeczko?...

Przytuliła się do jego ramienia, drżąc całem ciałem.

— O, co za okropny, szyderczy śmiech!... — wstrząsnęła się. — Chodźmy już... Okropnie długo siedzieliśmy.

— Co tak drżysz, kochanie? Co tobie? Boisz się?...

— Nieee — zadzwoniła zębami. — Ale kto...?

Zrozumiał o co chciała zapytać. Pocałował ją w czoło.

— Kochanie moje — rzekł prawie wesoło. — Nie masz się czego obawiać. To musiał być jeden z tutejszych parobków. Nawet zdążyłem go zobaczyć. Wszedł zapewne do ogrodu przez niski płotek, a usłyszawszy nas rozmawiających, zbliżył się i, ukrył w krzakach, podsłuchiwał. Potem, chcąc nas przestraszyć, zaśmiał się tak szkaradnie.

Uwierzyła mu i uspokoiła się trochę.

Objął ją wpół.

— Jesteś ze mną — rzekł pieszczotliwie — a ja nie dam ci zrobić najmniejszej krzywdy, dziewczyno droga. Nawet nie daruję temu bezczelnemu człowiekowi za to, że śmiał się odważyć na tak głupi żart. Mam nadzieję, że spotkam się z nim jeszcze. Wówczas odpłacę mu za twój przestrach i moją krzywdę...

— Twoją krzywdę?...

— Oczywiście. Pozbawił mnie przecież najmilszej rozkoszy: kosztowania słodyczy ust twoich.

Różowy obłok wionął na twarz Janki.

— Wracajmy — rzekła, oswobadzając się z jego objęcia.

— Dobrze, najdroższa.

Zdzisław uważnie obserwował narzeczoną. Spostrzegł, że nie wyzbyła się jeszcze lęku. Zwierzęcy śmiech w chwili niebiańskiego upojenia, musiał wstrząsnąć jej systemem nerwowym: drżała za najmniejszym szelestem liści. Dopiero, kiedy znaleźli się na korytarzu, uspokoiła się zupełnie.

— Janeczko, pamiętasz tę chwilę, kiedy przed paru dniami pocałowałem cię tu, na korytarzu? — zapytał półgłosem. — Gdy patrzałem na twoje usteczka, to poprostu coś mnie zmusiło, abym je ucałował. A tyś tak srodze mnie ukarała, niedobra!...

— Bo wtedy nie postąpiłeś tak, jak postępuje prawdziwy dżentelmen.

— Dlaczego? Przecież już wtedy cię kochałem...

— Ale posłużyłeś się przemocą fizyczną. Ukradłeś pocałunek.

— Więc dlatego mnie ukarałaś?

— Tylko dlatego, że... że kocham ciebie.

— Hm?...

— Bo gdybyś mi był obojętnym, albo rozgniewałabym się na ciebie, albo też zignorowałabym zupełnie twoją osobę. Lecz, jak sam wiesz, postąpiłam inaczej, bo kocham ciebie... Zawiniłeś — więc musiałam cię w jakiś sposób ukarać, gdyż mimo wszystko, byłeś dla mnie zupełnie obcym. Nie znałam ciebie... C. d. n.

10)

Radość życia

powieść

Oto przyniesiono teraz złotolistą suknię Pallas Ateny, by mi ją pokazać. Jest ciężka, ale tak wspaniała, jakby z diamentów najczystszych tkana. Kiedy modystki przesuwają ją pod światło, świeci barwami tęczy i iskrzy się diamentowemi blaskami. Wyobrażam sobie już a priori, jak królewsko będzie w niej wyglądać moja Niobe, współczesna, żywa, z krwi i kości. Pallas Atena. Lecz ona nic dotąd nie wie o tej niespodziance. Nic jej dotąd nie wspominałem.

Nasza rozmowa nazajutrz po owej nocy szalonej, której wstydzę się do dziś, była jedną z tych naszych spokojnych i harmonijnych rozmów, których nic nie jest w stanie zakłócić. Ani słowa o tem, coby nas wzajemnie dotknąć lub zaboleć mogło. Jestem pełen podziwu dla Niobe. Jak wspaniale potrafi ona panować nad sobą i jak olbrzymią dobrocią przepełnione jest jej serce! W niej tkwi prawda życia, ona cała jest ową prawdą.

Prawda życia!

Gdzie ona? Może leży w nas samych, a my szukamy jej dokoła siebie jak ślepcy? Może przechodzimy obok niej setki razy, ocieramy się o nią, lecz nie dostrzegamy jej. Moja prawda życia i moja radość życia leżą w Niobe, cudownem zjawisku, które dobre nieba zesłały mi za stracone dwa lata ucieczki z pola chwały.

Dziś raut w naszem poselstwie. Nie mogę już dłużej trzymać pod korcem mej tajemnicy. Trzeba poprosić Niobe — niechaj przymierzy tę cudną szatę. Nie zapomniałem o niczem: jest i diadem brylantowy na jej aż granatowe włosy, jest naszyjnik bezcenny, o który postarał mi się pan Karamazin, Pers, są wszelkie inne kosztowne i bezcenne dodatki, konieczne do całości sprawy.

Przywołałem pokojową i poleciłem jej poprosić Niobe. Suknię kazałem ustawić na manekinie tak, by subtelne refleksy sączącego się do gabinetu światła słonecznego — mogły wywoływać najwspanialej grę barw i kolorów, mieniących się nieustannie. Ja, modystki, służący mój, Melchjor — wszyscy czekamy z naprężeniem wejścia Niobe. Jakoż słyszę szelest jej kroków na dywanie i w moment później ukazuje się ona w drzwiach mego gabinetu. Boże, jakaż ona piękna! Chwilę patrzy na mnie, na modystki, Melchjora i w końcu wzrok jej przebiega z postaci ludzkich na suknię, mieniącą się teraz odbłyskiem czerwieni i fioletu jednocześnie.

— Aaa!

Okrzyk radości i zdziwienia wyrywa się z jej piersi.

— Podoba ci się ta suknia, Niobe?

Ona podbiega do manekina, chwilę stoi na miejscu jakby w nabożnem skupieniu, to znowu cofa się krok wtył i wkońcu, nie bacząc na obecną tu służbę — zarzuca mi swoje toczone, wężowe ramiona na szyję i na mem czole składa pocałunek, w który zawiera wszelką swoją radość i wszelką wdzięczność. A ja? Cóż mam powiedzieć o sobie? Czy mam wyłuszczać, co czułem, jakie hymny niebiańskie śpiewała moja dusza?

— Za godzinę powinniśmy być w poselstwie, Niobe — przypomniałem jej. — Idź do siebie i każ się ubrać tym paniom.

— A ty, Sew?

— O, o mnie mniejsza, ja będę gotów za kwadrans.

— Więc przyjdź do mnie.

Rzuciła mi na odchodnem cudowne spojrzenie, w którem były najczystsze uczucia jej dobrej duszy i jak ptaszek pofrunęła do siebie. Panny zabrały suknię i wyniosły się również. Skinąłem na Melchiora.

— Podaj mi frak i pomóż mi ubrać się.

Służący zakrzątnął się szybko i w kwadrans później, jak to zapowiedziałem, byłem gotów i pukałem do buduarku Niobe.

Na dźwięczny głos zapraszający — pchnąłem drzwi i stanąłem na progu, ale dalej nie miałem sił zrobić jednego kroku. Przede mną stała najprawdziwsza Pallas Atena, owo cudo artyzmu i sztuki rzeźbiarskiej, której kopia w marmurze zachowała się w Muzeum Watykańskiem. Lecz moja Pallas Atena przewyższała jeszcze doskonałością ową doskonałą rzeźbę watykańską, albowiem żyła, poruszała się i uśmiechała jednym z tych swoich rzadkich uśmiechów, w których widziałeś błękit nieba nabity gęsto ćwiekami diamentowych, czystych jak łzy — gwiazd.

— O, Niobe, jakaś ty cudna! — zawołałem w zachwycie, składając ręce, jak do modlitwy.

Uśmiechnęła się tylko i spytała krótko:

— Czy już jedziemy, Sew?

— Jeszcze nie,.. za chwilę — wybąkałem z siebie, o czem innem zgoła myśląc i oczu od jej postaci nie odrywając.

— Chciałabym wobec tego powtórzyć owe pieśni, które mam dzisiaj śpiewać. Nie chciałabym zrobić ci wstydu tem pierwszem mojem występem.

— Nie, nie trzeba, nie trzeba, Niobe — ja wierzę, że bez żadnych repetycyj śpiewać będziesz głosem boskiego cheruba.

— Abyś się nie zawiódł, Sew.

W pół godziny później nasz „Mercedes" cicho i niemal bezszelestnie, jak zjawa, zajechał pod gmach poselstwa, oświetlonego a giorno udekorowanego flagami polskiemi i greckiemi. Lokaj poselstwa otworzył nam drzwiczki wozu i oto już wstępujemy po wysłanych miękkiemi jak puch dywanami schodach do wnętrza. Przechodząc, zauważam już licznych gości, same wybitne osobistości dyplomatyczne, finansowe, dalej sfery literackie i artystyczne, rządowe, miejskie. A samochody wciąż zajeżdżają i wysadzają wciąż nowych i nowych gości. Elita ateńska bierze udział w tem święcie narodowem polskiem. Polaków niewielu — mało snać mieszka ich tutaj.

Po powitaniach, ceremonialnych ukłonach i wymianie uścisków, pani Zofia, urocza matrona, małżonka pana ministra, zabrała mi wyłącznie dla siebie Niobe, a pierwszy sekretarz zaprowadził mnie do sali, gdzie odbyć się miał ów wieczór uroczysty.

— Może mistrz raczy zbadać, czy sala jest dostatecznie akustyczna? — zagaduje mnie sekretarz.

— Chyba przerabiać już nie będziemy, choćby pod tym względem była najfatalniej urządzona? — roześmiałem się.

— Moglibyśmy złemu zaradzić, gdyż posiadamy drugą salę.

Na szczęście sala okazała się możliwa. Wróciliśmy zatem do salonów gospodarzy, gdzie miałem możność zobaczyć cały szereg figur nowych. Zapytany sekretarz znał ich wszystkich dobrze i wymieniał nazwiska, udzielał informacji z taktem i dyskretnie. Wszyscy ci ludzie byli to wybitni osobnicy, z którymi znajomość zawsze wielce może być pomocną. W pewnej chwili uwagę moją zwrócił na siebie przystojny oficer włoski w mundurze galowym.

— Któż to zacz? — spytałem.

— Ten wojskowy? To major Gonzzi, charge d'affaires poselstwa italskiego, zazdrosny mąż pięknej żony. W całych eleganckich Atenach opowiadają sobie, jakoby signor Gonzzi bijał swoją piękną żoneczkę regularnie każdej soboty za wszystkie spojrzenia, uśmiechy i flirty w ciągu całego tygodnia.

— Oo! To jakiś ciekawy egzemplarz, który zaraził się od Heinego.

— Ba, ale Heine miał za żonę naiwną gąskę, która go zdradzała przy każdej okazji, tymczasem Signora Gonzzi, to dama par excellence, prawdziwa lwica salonowa z XIX wieku z tą różnicą, że podobno jest... wierna.

— O, bogowie! Jestże ona tutaj?

— Zobaczy ją pan. Czy mam pana przedstawić?

— Och, nie, chyba później.

Rozległ się głos gonga. Pan minister osobiście zaprosił gości do sali. Zrobił się ruch i chwilowe zamieszanie. Skorzystałem z tego, by podsunąć się do Niobe i podać jej ramię, lecz pani Zofia ani sobie rzec tego nie dała.

— Pan ma panią małżonkę codziennie, a my tylko raz do roku, w dniu święta narodowego. O, nie godzę się na to, mistrzu.

Uśmiechnąłem się tylko do „pani małżonki" i poszedłem za innymi do sali, gdzie już muzyka witała wchodzących „sluszowanym" marszem.

Następnie cały program odbył się tak, jak prawie wszystkie programy na całym świecie. Poseł Rzeczypospolitej, powitawszy gości, wygłosił krótkie, treściwe „słowo wstępne" o znaczeniu 3-go Maja dla Polski; jeden z greckich poetów wygłosił własny poetycki utwór na cześć Polski, wcale treściwy, głęboki i piękny, po czym śpiewał chór szkoły operowej i to była część pierwsza programu. Część druga całkowicie zarezerwowana była dla mnie i dla Niobe.

Przyznaję, że doznałem znacznej tremy, kiedy po chórze szkoły operowej zbliżył się do mnie sekretarz i szepnął mi, że teraz moja kolej. Na jeden moment zawahałem się, lecz poszedłem ku podium. A kiedym przechodził wśród rzędów krzeseł — ucho moje ułowiło szmery głosów, powtarzające moje imię:

— Jarga, Jarga będzie teraz grał.

— Czy ów sławny?

— Ten sam... Jarga, Jarga...

Stanąłem na podium i spojrzałem twarzą w twarz tym wszystkim ludziom, poczem dopiero, po chwili, po dość długiej chwili, złożyłem etykietalny, sztywny ukłon. Zaledwie głową skinąłem lekko, tak lekko, że mogło to wcale nie wyglądać na ukłon. Potem odwróciłem się, wziąłem mego Stradivariusa w rękę i uderzyłem pierwszy akord.

Nastała modlitewna cisza.

Nowy akord. Cisza. A potem warkot bębnów, krótkie słowa komendy, co cięły jak noże, tupot nóg. równy, jednostajny, a jednak barwny, to marsz, a potem — popłynęła pieśń.

Ktoś szepnął i to dość głośno: „Marsz hoplitów".

Z wyniesienia, na którem stałem, zobaczyłem morze głów, morze twarzy, z których każda zmieniała się w miarę, jak skrzypce moje przemawiały do nich. Tony moich skrzypiec rządziły teraz jedynie grą ich muskułów i obiegiem krwi w żyłach, zaciągały je chmurami i rozjaśniały uśmiechami, kurczyły do płaczu, znieruchomiały w zadumach, wypalały na nich rumieńce i czyniły je blademi. Młodzieńcy, których przed tym widziałem tu wątłych i pochyłych, teraz pod mojem zaklęciem przybierali postacie harde, i wyzywające, mężowie dogrzali ronili sznurki łez z pod palców zasłaniających oczy, kobiety były bliskie omdlenia, lub z wysileniem woli, od którego stawały się podobnemi do mężczyzn, powstrzymując w piersi krzyki spazmatycznych śmiechów i płaczów. Były nawet takie, które mdlały i takie, (którym brakowało sił do utrzymania na wodzy szatana histerii. Jedną z takich zemdlonych wyniesiono z sali, a biała jej suknia, kiedy przechodzono koło mnie, prawie u moich stóp zamiatała ziemię, czarne włosy wymknęły się z więzów i wdół spłynęły strugą siejącą perły. Alem ja grać nie przestał, nikt nie schylił się do podnoszenia pereł, bo nikt poruszeniem najlżejszem nie chciał i nie śmiał zerwać czaru, od którego serca bić przestawały, a nad salą upalną, od świateł gorejącą, przez którą niesiono postać białą i sztywną, gra moja upojona, rozkliwioną, rozmarzona, ani na mgnienie oka unosić się nie przestawała, aż gdy umilkła, ów tłum sztywny na początku dystyngowany, jakby nieczuły i zimny, jak jeden człowiek, wzniósł ręce i zabrzmiał oklaskiem wściekłym, nieskończonym, zmieszanym, nie z krzykiem już, ale z rykiem piersi, które musiały, w jednym, lecz ciągle powtarzanym wyrazie wyrzucić z siebie część namiętnej burzy. Jakiś głos męski, szorstki, gniewny, krzyknął mi z głębi sali: „przestań, bo serce pęknie!" Poznałem ten głos i dla odmiany znów podniosłem skrzypce do piersi i porwałem je w dreszczach przebiegających ramiona i plecy, opuszczałem je w ogniach piekących policzki i dłonie, grałem utwory cudze i swoje i czułem w tej chwili jedno tylko, że gdyby nie było ludzi, którzy kochają, szaleją, płaczą, pragną, ścigają, skrzypce moje nie wzdychałyby także, nie płakały, nie szalały, ani wzbijały się z pragnieniem ku wyżynom niedościgłym.

Grając, szukałem Niobe, a gdy wzrok mój spotkał się z jej wzrokiem zdumionym, zalęknionym, to znów ufnym, kochającym — już się oczy nasze nie rozłączały, chociaż ona przysłaniała je chwilami powiekami, jakby nie śmiejąc patrzeć i żądzy patrzenia oprzeć się nie mogąc, aż nakoniec jej duże, ciemne, fosforyzujące, przejrzyste oczy przylgnęły do mnie jak żelazo do magnesu, z zapomnieniem zupełnem o sobie i o świecie, z czułością coraz rzewniejszą, same też coraz piękniejsze, głębsze, ognistsze, aż ręce jej klasycznie rzeźbione wzniosły się i splotły u piersi nieświadomym ruchem uwielbienia. I miałem ogromną chęć zejść z podium, zbliżyć się ku niej, wziąć te umiłowane, modlące się do mnie ręce, zajrzeć z bliska przez te śliczne oczy w tę śliczną duszę, zabrać ją z sobą i pójść przed siebie, hen daleko przed siebie, aż tam, kędy kończą się niedole i smutki i zaczyna szczęście.

Lecz nie uczyniłem tak, ale urwałem gwałtownie grę, skłoniłem się sztywno, odłożyłem skrzypce i zszedłem z podium. Teraz dopiero tłum ryknął, zawył, wyrzucił z siebie jeden ogromny, niepojęty ryk, jakby już nie mógł zapanować nad swym en, tuzjazmem, bo on rwał się, toczył jak lawa, huczał i wrzał w nim. A byli to przecie ludzie trzeźwi, dyplomaci, politycy, finansiści...

Długo sala nie mogła wrócić do względnego choćby spokoju. Otoczono mnie zwartem, ciasnem kołem, mężczyźni rzucali mi się odruchowo na szyję, kobiety całowały, ściskały i płakały na moich piersiach. Z ogromnym trudem przepchałem się do Niobe, od niej jedynie pragnąc uznania, podziękowania, łzy radości, uśmiechu.

Sam byłem tak bardzo rozrzewniony i wzruszony, że nie mogłem zdobyć się na żadne słowo, ale trzymałem tylko Niobe za ręce, wpatrywałem się w jej cudne oczy i uśmiechałem. Wkońcu dopiero spytałem, wyrzucając z siebie słowa krótkie, urywane:

— I cóż, Niobe... i cóż... i cóż?

— Sew, o Sew!...

I łzy srebrzyste, duże, diamentowe potoczyły się spod jej powiek, a usta, te jej przecudne usta, przedmiot moich tęsknot i udręk rochyliły się nieco i szeptały coś, czego zrozumieć nie mogłem.

Otom osięgnął zwycięstwo, które nie było jednak ostatecznem. Osięgnąłem zwycięstwo, które było raczej moim pogromem. Ta najstraszliwsza choroba, ten obłęd najgorszy, który się miłością nazywa, ogarnął mnie jak płomień i pożerał w dosłownem znaczeniu. Niobe znowu była najważniejszą i jedyną myślą moją, do jakiej mózg mój był zdolny. Marzyły mi się dnie, na których zegarze była jedna tylko godzina, ta właśnie, o której ją miałem zobaczyć. Śniły się pocałunki, od których się umiera tysiąc razy w jednej minucie i uściski takie, co trwają wiecznie, bo serce się zatrzymuje i nie mie-

rzy upływającego gdzieś tam na świecie czasu. Śniły się chwile szczęścia niewypowiedzianego, ciepłe słońcem a pożądliwe, wilgotne usta, całowane przy powitaniu, dotknięcia dłoni częste, niby przypadkowe i przelotne, a długie jak wieki, spojrzenia spod spuszczonych powiek rzucane, długie, oddające się, do szału upojne — ruch warg ledwo dostrzegalny, mówiący: kocham! gdy ludzie patrzą i nie rozumieją — spotkania w zacisznym sześcianie mieszkania, pod zielonemi drzewami, w mknącym wagonie nocnego pociągu pośpiesznego, który, hucząc po szynach, uniesie szalonym pędem miłość naszą w świat! w świat! w świat!

Rozglądam się dokoła siebie przytomniej i nie spostrzegam już Niobe przy sobie. Szukam jej wzrokiem i spostrzegam ją na podium. I ona szuka mnie oczami, a gdy nareszcie spotkała mój błądzący po ludziach wzrok, już nie oderwała od niego swoich źrenic. W nich znalazła, z miłości w mych oczach utajonej, czerpała natchnienie. Ja ją zachęcałem aktami strzelistemi w mem sercu, które rodziły się przez nią i dla niej.

Akompaniator uderzył w klawisze basów, przejechał palcami całą klawiaturę raz i drugi i skończył na pianissimo, dając niejako znać Niobe, by rozpoczęła. Zaczęła śpiewać. Głos jej, czysty, srebrzysty, wielki i doskonały w każdej najdrobniejszej swej części, zdawał się być dla niej kąpielą z wina i płomieni, a melodie nićmi, na których podnosiła się tak wysoko nad ziemię, że na niej nic drobnego, ani wykrzywionego dostrzec nie można. One jej być miały następnie mennicą królewską, butami stumilowemi, rogiem obfitości, sypiącym kwiaty, laury i erotyki wartości wszelakiej.

Głos Niobe błyszczał jak diamentowa szala przesuwana pod słońce, śmiał się, płakał i szlochał lub zabrzmiał echami triumfu, które rozpalały krew, przyprawiały o dreszcze i zmuszały serce do szybszego, gwałtowniejszego bicia.

Duma zapaliła się na jej czole pod wpływem uczucia potęgi własnej. Lecz nie była to pycha rodowa ani pieniężna. Ona czuła i wiedziała, że sama przez swoją naturę wyjątkową i przez swoją pracę, która się odbywała w dreszczach i ogniach, krzesała nad czołem swoim światło glorii; czuła i wiedziała, że w tej chwili karmi innych nie kruszcem z ziemi dobytym, lecz samemu niebu i wnętrznościom własnym wydzieranym pierwiastkiem piękna. Ta duma mojej Niobe nie zawierała podłego składnika tamtych — wzgardy dla innych. Ona nie pomiatała nikim, bo źródło jej wypływało ze wszystkich i na wszystkich spływać miało. Ze zbiornika uczuć i myśli, którym jest ród ludzki, powstawały pieśni jej i powrotne w niego wsiąknięcie, pod postacią taką, jaką ona im dała, było ich przyczyną bytu ostateczną.

Starohelleńskie pieśni Niobe wywoływały wizje z zamierzchłych wieków, a głos jej ożywiał je, wskrzeszał, tchnął w nie ducha i sączył w nie krew jej własną, któremi żyły. Zaludniła się cała sala duchami dawnych ludzi, dawnych czynów i dawnych uczuć, wciąż żywych, kochających i nienawistnych, wesołych i ponurych, radosnych i melancholicznie łzawych.

Gdy śpiewała, wszyscy zgromadzeni tu wykwintni ludzie jakby skamienieli z wrażenia i przejęcia, zasłuchani i przerażeni, gdy pieśń przerażała, lub śmiejący się do niewidzianych duchów, gdy pieśń radością tchnęła.

Niobe skończyła już dawno, ale nikt nawet się nie poruszył, nie drgnął, tak olbrzymie wciąż jeszcze było wrażenie jej głosu. Ktoś westchnął, jakby zrzucał z siebie jaki ciężar bolesny lub przymus, a wtedy wszyscy ci ludzie ożyli nagle, jakby cudownie wróceni życiu i jak na komendę wzniosły się ręce do góry i powstał huk i ryk wściekły, szalony, grzmiący piorunnemi hukami, zagłuszający wszystko, toczący się długo, namiętnie, gwałtownie jak fale wezbranej rzeki górskiej. Rozległy się szlochy ludzkie, załzawiły się oczy, poczem zerwał się znowu krzyk dziki, ekstatyczny, ogromny:

— Niobe! Niobe! Niobe!

Do stóp mojej dziewczynki posypały się kwiaty, brylantowe kolie, pierścienie...

Major Gonzzi, który stał przy mnie, płakał jak bóbr, tarmosił mnie za rękaw fraka i coś mówił do mnie, z czego długo nic zrozumieć nie mogłem. Dopiero gdy się nieco uspokoiło, gdy ucho, uszu moich dobiegły jego słowa:

— Mój Boże!... Mój Boże!... Dlaczego nie słyszała tego moja Julia? Dlaczego?... Zemdlała z wrażenia, z przejęcia i musiano ją wynieść. Ach, panie, mistrzu, jaka ona wrażliwa na piękno!

Słuchałem go i coś niejasnego, jakby bardzo, bardzo dalekiego błysnęło na jeden krótki moment w moim mózgu: Julia! Julia! Gdzie ja słyszałem to imię?

Ale nie miałem czasu zastanawiać się dłużej nad tą zagadką, bo za moment stanęła przy mnie Niobe i zabrała mnie dla siebie, wyłącznie dla siebie.

Była zarumieniona, odrobinę zadyszana, przejęta, upojona i szczęśliwa! szczęśliwa! szczęśliwa!

— Sew, o, Sew...

Uchwyciła się mego ramienia, przywarła doń mocno, twardo, pożądliwie, kusząco.

— Sew, o, Sew, jakie szczęście, jakie ogromne szczęście!... Chodźmy, chodźmy stąd. Chcę wypocząć, chcę marzyć sama, przy tobie... Albo nie, nie — zostańmy tu wśród tych ludzi, wśród tej powodzi świateł... mnie tak dobrze przy tobie, Sew, o, Sew...

XXVI

A więc wyjazd nasz postanowiony. Z powodzi ofert, propozycji, zaproszeń i próśb, wybrałem mediolańską „La Scala“. Trzydzieści tysięcy lirów za jeden wstęp, termin za miesiąc. Drogo, to prawda, ale trudno — taka jest cena rynkowa geniuszów. Chcecie słyszeć, jak dusza moja śpiewa — zapłaćcie tyle, ile żądam.

Tymczasem, nim nastąpi mój wyjazd, przygotowuję dom nasz, w którym zamieszkamy może już na stałe. Lecz Niobe nic o tem wiedzieć nie będzie. To tajemnica. Właśnie Melchior melduje mi przybycie inżyniera Vernoniego, przedstawiciela stoczni włoskich.

— Proś!

W ciągu dwóch godzin przeglądaliśmy plany, rysunki, wykresy, wkońcu zaakceptowałem jeden z projektów, dałem czek na znaczną sumę i pożegnałem uprzejmego włocha.

Zostałem sam: sam ze swemi myślami, marzeniami, projektami. Takie dziwne myśli napełniają mi głowę. Budzi się we mnie pragnienie za spokojem i ciszą, w której rozwijałaby się miłość taka, jakiej pragnę. Pomimo przeszłych i czekających mnie jeszcze triumfów — czuję się znużonym i takim jakimś ciężkim. Już mnie nie nęcą gwarne uczty, toasty huczne, mowy i pisma w językach wszystkich cześć moją głoszące, deszcze kwiatów, liściki wonniejsze nad kwiaty, przysmaki stref wszelkich, pocałunki ust niezliczonych, pyłki przelotne coraz nowe i inne, od których życie skrzyło się i może się jeszcze skrzyć jak pod światłem pas brylantowy.

Zmieniam się najwidoczniej.

Coś we mnie woła krzykiem:

Niobe! Niobe! pójdź do mnie, bo oto znowu dusza moja omdlewa mi w cklivej próżni i zrywa się w niej ciemny ptak, drapieżny ptak, straszny ptak śmiechu bezsennej nocy nad przeminionemi dniami! Cóż dalej? Co na dnie? Co u końca? Co po końcu?

Niobe! Miłuję cię, jak człowiek miłuje oko swoje przez które widzi jasność dnia. Miłuję cię więcej niż sławę swoją, boś cicha jak mądrość, słodka jak mądra łagodność. Miłuję cię, bo z pomiędzy wszelkich rozkoszy ziemskich, jedną miłość twoją nie jest do sprzedania i nie jest do kupienia. Tak jest; takie już prawo nad śmiertelnymi zawiesiły moce niepojęte, że wszystko, co nas żywi, poi, raduje, wynosi, wzbogaca, oczyszcza, jest do sprzedania i do kupienia.

Bólem płaci niewiasta powstanie dziecka swego, ceną śmiechu bywają przebiegające za nim łzy, mędrzec za mądrość monetą trudu, miłość starością, nadzieja wspomnieniem, życie śmiercią i śmierć sama tworzeniem nowego życia płacą. Opłatą winy — jest cierpienie...

Jednej miłości sprzedać ni kupić nie można, lecz i za nią płacić trzeba cierpieniem....

Za miesiąc...

Za miesiąc mój ponowny ślub ze sztuką i sławą. Znowu wielkim haustem napiję się rozkoszy, lecz nadzieja ta nie upaja mnie, taką pustkę mam w sobie i takie pragnienie — czego? Nie wiem... właśnie to jest moją trwogą i żałością, że nic nie wiem... Ale wiem, że mi trzeba czegoś, czego nie mam... Wszystko mam: w sobie dumę nasyconą, przed sobą Olimp czy harem, nad sobą glorię sławy, grzmot oklasków, górę złota, nawet pieśni moje, odebrane nieszczęściu... jednak nie mam czegoś, co mi potrzebne, i z tego miejsca, które wszystkim wydaje się rajem, pragnę iść gdzieindziej, z kimś innym, inaczej... nie wiem gdzie, nie wiem jak...

Muszę z nią porozmawiać, muszę... Spokojnie, rozważnie, logicznie, jak człowiek dojrzały rozmawia z drugim dojrzałym człowiekiem. Tak, muszę. Bo przecież dłużej tak niepodobna żyć, trwać w tej męce, cierpieć... Niech mi odpowie wyraźnie i jasno, bez zasłonek eterycznych, dziwnych, niepojętych, ale prosto i po ludzku.

To szamotanie się moje we własnem, przez siebie stworzonem kole udręczeń, nie ma przecie żadnego sensu! Jestem człowiekiem z krwi i kości, żyję, poruszam się, pracuję — więc po ludzku pragnę odczuwać wszelkie uczucia, które człowiekowi są właściwemi. Wszelkie niepojęte, tajemniczość, eteryczność, te sfery jakieś wyimaginowane, czy narzucane przez kogoś drugiego, przez obcą wolę — — są mi wrogie, zaczynam je nienawidzić...

Tak, muszę pójść do niej, muszę z nią pogadać, muszę... Postawię wszystko na jedną kartę i niech się co chce dzieje, byle był koniec, byle już raz był koniec... Tylko spokojnie, tylko rozważnie, bez nerwów i bez wybuchów — spokojnie...

Aby uspokoić rozedrgane nerwy i sprowadzić do roztęsknionej duszy mojej spokój — wziąłem skrzypce i zagrałem spokojną melodię, w której nie było rozrzewnienia, ani radości, ani wybuchów erotyzmu, ni sentymentu, a potem odłożyłem je i poszedłem do niej, do Niobe.

— Powiedz mi Niobe, co będzie z nami dalej? — zagaiłem sucho i spokojnie, jakgdybym był lichwiarzem i pytał: „powiedz mi, kiedy zapłacisz nareszcie swój weksel.“

Odłożyła nabok jakiś drobiazg, trzymany w ręku, którym się zabawiała, a potem spojrzała jakby w niezrozumieniu.

— Co będzie z nami?

— Tak, co dalej będzie z nami? Dotychczas tak bardzo oryginalne nasze współżycie zmęczyło mnie już tak bardzo, że dłużej wytrzymać nie mam sił. Chcę, by nareszcie nastał jakiś koniec. Dość już chyba tej zabawy w miłość platoniczną, idealną, która mnie pożera jak szkorbut. Trzeba coś zdecydować: albo życie nasze potoczy się nadal jedną koleją, albo...

— Albo — co?

— Albo musimy się rozstać, rozejść, rozłączyć i każde z nas wybierze własną ścieżkę życia i pójdzie nią w swoją drogę, nie oglądając się na drugie.

Hardość i bunt potęgowały się we mnie i rosły. Już jej roztęsknione spojrzenia skrzywdzonej łani nie działały na mnie rozbrajająco, już nie mogły zatamować brutalności mego głosu, który rozpychając się łokciami wśród skrupułów, rwał się nazewnątrz.

— Odpowiedz, Niobe...

— Odpowiedzieć... Sew, o, Sew — miej cierpliwość — poczekaj jeszcze...

— Na co? Czyż nie dość czekałem? Nie, ja dłużej nie mogę już czekać, nie mogę, Niobe... Dwa lata już czekałem, a w ciągu tego czasu tyś wkoło mi powtarzała: poczekaj. Ja dziś chcę znać ostateczny wynik, dziś, zaraz, natychmiast! Nie chcę grać dłużej roli Don Kichota, nie chcę być trubadurem miłości, który za swoje pieśni dostaje uśmiech wymarzony, współczujące spojrzenie lub jakiś okruch ze stołu biesiadnego.

— Sew, o, Sew — czy ci nie dość na teraz, że cię kocham tak bardzo, jak fanatyk kocha swoje bóstwo?

— Nie rozumiem twojej miłości, takiej, jaką ty mnie darzysz, bo trudną ona jest do zrozumienia. Odpowiedz: chcesz iść ścieżką mego życia? Odpowiedz jasno i wyraźnie — nie zasłaniaj się żadną tajemniczością.

Milczenie.

Czekam, Niobe.

Pochyliła głowę nisko, tak nisko na piersi, a ja stałem nad nią, jak sędzia nieubłagany, czekając ostatniego słowa obrony. Czekałem długo, lecz z ust Niobe nie wyszło więcej jedno słowo. Zaczem odezwałem się znowu już chłodno i trzeźwo, bo pojąłem to milczenie.

— Myślałem, że ty, o Niobe, staniesz przy mnie dobra i jasna i że w chwilach złośliwych i czarnych, w milczeniu, miękko, łagodnie weźmiesz mi głowę w dłonie i u piersi swej uciszysz wrzącą w niej burzę. Tak długo tęskniłem za jakiemś sercem, któreby było mojem, własnem, bez warunków, bez drobiazgów, bez „nie wypada“! Lecz przekonałem się, że to były rojenia dziecinne! Alboż jest na ziemi serce takie, choćby nie moje — jakiekolwiek?... Zatem odchodzę. Nie jestem ci już potrzebny. Wszystko, cokolwiek do ciebie należy, zostawiam na miejscu, a sam zabieram tylko skrzypce moje.

Odwróciłem się i poszedłem ku drzwiom. — Gdym je mijał, słyszałem za sobą tłumione łkanie i coś targnęło się tam bólem i męką, pragnieniem i tęsknotą we mnie, alem się nie odwrócił, nie zatrzymał, nawet nie zwolnił kroku. I dopiero, gdym opuszczał hotel, by pójść na dworzec, wsiąść na pociąg i uciec z tego miasta, usłyszałem, jak serce moje płacze i skarży się. Zmrok opadł na szarość ulic i nie było naokoło mnie żadnego światełka i żadnej iskry. To, czego doświadczałem, najwłaściwiej porównać można do zmroku, w którym nie połyskuje żadne światełko, ani nawet żadna iskra. Krok mój stał się ociężałym, Ramiona, zamiast miotać się i załamywać, opadały nieprzezwyciężenie i bezwładnie. Było to kamienne, bezdenne, prawie bezmyślne zniechęcenie, na którego dnie szlochał jakiś naiwny dzieciak, chłostany przez śmiejącego się cierpko mistrza.

XXVII

Ogromna sala koncertowa mediolańskiej „La Scala“, pełna ludzi duszących się prawie w ścisku i huczących w rzęsistem świetle, jak wicher przed wybuchnięciem burzy.

Tłum ten, którego każdy osobnik bywa zazwyczaj wyrazem coraz innych losów i uczuć, zlał się teraz w jeden wyraz ciekawości i uciechy, tak silnie krew chłoszczącej, że pod huczeniem głosów nieledwie dosłyszeć można szmer uderzających śpiesznie serc i pulsów.

Ciąg dalszy nastąpi.

BRESZKO-BRESZKOWSKI

22)

Skarby Chana Mugańskiego

Powieść sensacyjna *Tłum. Jerzy Laskowski*

(Dokończenie)

A niewtajemniczonym wydało się nagle, że zwariowali! Ani wzrok, ani rozum nie mogły skojarzyć dwuch Gafanich: Siedzącego przy stale i tego, który dopiero wszedł.

Pierwszą myślą aferzysty było: przepadłem, już nie wyjdę stąd żywcem! Nigdy nie wykorzystam ani skarbów, ani pięknej Węgierki! Nie wyjdę! Pułapka...

Jak szalony wicher przeleciała przez głowę jeszcze jedna myśl: trzeba jaknajdrożej sprzedać swoje życie! A najdrożej zapłaci azjatycki książę „z tamtego świata".

Cofnąwszy się od schodów, prowadzących na chór, Gafani błyskawicznym ruchem wyciągnął rewolwer.

— Zobaczymy jeszcze kto — kogo, wasza wysokość! Czy nie za szybko pan zmartwychwstał?

Wszyscy znieruchomieli.

Tylko Chan i Grek zerwali się z miejsc ze skierowanymi do Gafaniego rewolwerami.

Biedny Gromenia ze strachu spadł pod stół.

Padły strzały, gdyby... nie coś wielkiego, ciężkiego, czarnego, spadło z góry, ze schodów na Gafaniego, przewróciło go, przygniotło docna swoją ogromną tuszą...

To nagłe wmieszanie się trzeciej siły nie pozwoliło Ajaksowi i Chanowi zrobić użytku z broni.

Ale Gafani, padając, zdążył wystrzelić. Kula była przeznaczona dla Ammałata. Jednak, po pierwsze, uderzenie w rękę zmieniło jej kierunek, a powtóre ona napotkała na swej drodze Senegalczyka. Gafani i Donkunda spleceni razem tarzali się po podłodze. Twarz Donkunda była już zalana krwią. To była zażarta, okrutna walka dzikiego atlety z awanturnikiem silnym i zawziętym, który postanowił walczyć do upadłego. Nie można było nawet myśleć o rozdzieleniu ich!

Wyrywając się i konwulsyjnie rzucając nogami, Gafani zapomniał, że może strzelać, i operować lufą rewolweru, jak kastetem, i napewno zmiażdżyłby twarz Donkundzie, rozbiłby mu głowę, ale rannego, napół oślepionego Senegalczyka, któremu krew zalała oczy, ratowała nieprawdopodobnie długa ręka, ściskająca Gafaniemu gardło. Coraz więcej zaciskając palce koło szyi znienawidzonego człowieka, Donkunda, otrzymywał, coprawda, ciosy, ale one sięgały mu tylko do ramienia.

Ciosy Gafaniego słabły coraz bardziej. Gafani rzęził z wybałuszonemi oczyma i wysuniętym językiem. Słabnąca ręka wypuszcza rewolwer. Kilka skurczów całego ciała w agonji, i ciało to wyciągnęło się nagle, jakby Gafani odrazu urósł... Ale i Donkunda pozostał bez ruchu z zarzuconą wtył głową i krwawą maską, zamiast twarzy.

Panowie obstąpili trupa białego człowieka i półtrupa, jak się narazie zdawało, czarnego.

Gromenja, który zdążył już wyjść ze swojej kryjówki pod stołem, przekonawszy się, że Gafani już nie jest więcej niebezpieczny, kopnął go nogą w bok:

— Masz, niegodziwcze, za wszystkie obrazy i poniżenia. Łotr! Masz teraz za wszystko!

Doktor Zaraicz próbował roztworzyć potworne palce murzyna, które wciąż jeszcze ściskały gardło swej ofiary. Udało się to lekarzowi dopiero przy pomocy Ajaksa Pecano, poczem zaczął opatrywać Donkundę.

— Nic strasznego. Głębokie zemdlenie od utraty krwi i męczącego bólu fizycznego. Gdyby to był zwykły śmiertelnik, a nie Herkules, Gafani zmiażdżyłby mu ramię. A kula... kula głęboka drasnęła ramię, nie uszkadzając kości.

Benau wołał napróżno:

— Zostawcie ich tak, jak są! Zostawcie na miłość Boską! Zawołam Brodzkiego, który „skręci" nam ten rzadki dokument. Przecież niezawsze ludzie siebie zabijają poto, by można było zrobić z tego zdjęcie...

Zamiast epilogu

Gdy przybyła policja, doktor Zeraicz zdążył już opatrzeć Donkundę, który wrócił do przytomności. Zabandażował mu całą twarz, pozostawiając tylko jedno oko. Marynarki nie było można zdjąć. Trzeba było rozciąć rękaw, do tego stopnia spuchło zsiniałe ramię.

Liczni świadkowie z łatwością udowodnili, że Donkunda początkowo zamierzał zapobiec morderstwu, a dopiero później, broniąc się przed uzbrojonym przeciwnikiem, mimowoli go uśmiercił.

Za Donkunda przemawiała pozatem jego świetna przeszłość bojowa. A Gafani był znany policji, jako międzynarodowy oszust, który liczne swoje przestępstwa uprawiał pod różnemi pseudonimami.

Donkundę umieszczono w drugim szpitalu w okolicy Lasku Bulońskiego. Jego osobny pokój był podobny do garderoby Józefiny Baker, tak był cały zastawiony kwiatami, przywiezionemi przez wściekłą Lilian, Mar - Molli, manię i różne nieznane panie, które stały się jego wielbicielkami.

W dwóch — trzech dniach czarny wielkolud stał się sławny. To cieszyło go, jak dziecko.

Benau dyrygował wszystkiemi wywiadami i fotografowaniem modnego bohatera, przy okazji reklamując nowy film z udziałem lwa".

Jedna rzecz tylko trapiła Donkundę: czy to wielką szrama przez cały policzek nie zeszpeci go zbytnio? Przecież szrama pozostanie nazawsze.

Donkunda często i długo przyglądał się w lustrze. Z trudem dał się przekonać, że szrama uczyni go jeszcze bardziej interesującym...

Pytano się go, czy wiedział, że z Gafanim trzeba będzie skończyć?

— Donkunda wiedziała...

— Skąd?

— Donkunda nie wie skąd wiedziała. Ona tylko mówiła sobie: nie odchódź! I Donkunda nie odeszła. Ona jeszcze za dnia wlazła na górę, przyczaiła się tam i czekała. Czekała na złego człowieka. Jego już niema. A Ammałat - Chan żyje i Donkunda lubi Ammałat - Chan.

Komu nie można było dogodzić, to rzutkiemu grubasowi Benau.

Wciąż atakował Donkundę.

— Nicponiu, pośpieszyłeś się z uduszeniem tego łotra! — On jeszcze nie dokręcił jednej sceny!

— Nie dokręci zła człowiek! Ammałat - Chan dokręci! — rezolutnie odpowiedział Senegalczyk.

Benau uderzył się w głowę.

— Tym razem, Donkunda, ale tylko tym razem okazałeś się mądrzejszym ode mnie! Rzecz jasna, że Ammałat - Chan zastąpi nieboszczyka w Paryżu, jak zastępował go na pustyni równo jeszcze żywego. Aha, zakomunikuję ci przyjemną „nowinę": Ammałat - Chan będzie u nas drugim dyktatorem po panu O'Donnel. On przystępuje do spółki z piętnastoma miljonami franków.

— To? To jest ile? — zapytał oszołomiony Donkunda.

— Tyle, ile gwiazd na niebie. Nie zliczyłbyś! Ale jest nowina jeszcze ciekawsza: prędzej wracaj do zdrowia, ażebyś mógł pozować na ślubie... Ammałat-Chan z Mar-Molli.

— To dobrze, bardzo dobrze! — zaczął wierzgać nogami pod kołdrą, — Donkunda lubi Amma-

łat - Chan, lubi Mar-Molli! Bardzo, bardzo dobra! I będzie maleńki Ammałat - Chan i Donkunda też go pokocha...

— Ach; ty czupiradło! Kochane, śmieszne czupiradło! — roześmiał się Benau. Wyszło to u niego bardzo ciepło i serdecznie, co rzadko przytrafiło się reżyserowi, zawsze gdzieś się śpieszącemu, zawsze zakłopotanemu i raczej ironicznemu, aniżeli ciepłemu w stosunku do ludzi.

Trzeciej nowiny Benau nie zakomunikował Donkundzie tylko dlatego, że sam jeszcze nic nie wiedział. Po kilku dniach gruchnęła wieść, że południowo - amerykański bogacz, młody, piękny brunet z niebieskiemi oczyma, żeni się z Maniją d'Or. On również jak Ammałat, przystępuje z kilkoma miljonami w charakterze udziałowca do przedsiębiorstwa O'Donnela.

Benau zacierał swoje pulchne rączki.

— Niestety, Mar-Molli i Manija zostały „zabrane" i pozostaliśmy bez „narzeczonych". Szkoda, gdyż wpływały do nas coraz to nowe kapitały. Wzbogacamy się, i zaokrąglamy jak niegdyś Austria, drogą korzystnych małżeństw. Teraz „zakręcimy", aż hej! I co za filmy!...

* * *

Ammałat przedstawił swoją narzeczoną Ałmaz-Chanowi. Dostojny starzec, który ostatnio wyzdrowiał i przyszedł do siebie, zeszedł na dół do oczekującego go wnuka z narzeczoną — przyszłą Chanową Mugańską. Mar-Molli przywitała Ałmaz-Chana takim samym głębokim ukłonem, jak ongiś jej matka witała cesarza Franciszka Józefa na wileńskim dworze.

Swoją powierzchownością i wdziękiem przyszła synowa oczarowała tak starca, że darował jej nawet nie-muzułmańską wiarę.

Pozostali na obiedzie. I jak wtedy, przy Gafanim, pojawił się mały stoliczek, młody baranek na srebrnym półmisku i Kerim z Kabardyńcem - kucharzem, którzy zastygli we drzwiach.

Ale tym razem na twarzach sług malowała się wierność, a następca mugańskiej korony nie szukał oczyma, co ma robić, gdy Ałmaz - Chan podał mu rytualny nóż.

Słudzy otrzymali uszy młodego baranka. Najlepszy kawałek dostał się dziadkowi, a następny Mar-Molli. Wszystko to było dla niej tak nowe i zdawało się, że jest przepełnione sympatycznemi tradycjami. Dlatego, że to robił ukochany człowiek, więc wszystko było piękne. I czy dlatego jeszcze, że tysiące lat temu przodkowie Mar-Molli, jeźdźcy azjatyckich stepów, którzy groźną lawiną dotarli aż do naddunajskich równin, stosowali ten sam rytuał przy jedzeniu, czy to w pochodzie, czy w codziennem, pokojowym życiu?!

Potem pili herbatę. Ałmaz - Chan wyjął kozik, posmarował placek miodem i podał narzeczonej Ammałata. Nigdy jeszcze nie jadła takich placków i nigdy jeszcze miód nie był tak smaczny i pachnący.

Niespostrzeżenie przeszedł cały dzień.

Wrócili do hotelu na Place Vendome.

Zapadł zmierzch. Półmrok zaczaił się w pokoju. Nie zapalali światła, ażeby nie spłoszyć nastroju.

Podeszli do okna.

W dole mknęły przez plac samochody z jeszcze blademi światłami w delikatnym półmroku. Tak samo blade były jeszcze latarnie.

Ammałat objął ręką młodą kobietę, która zadrżała od dotknięcia i przycisnęła się całem ciałem do niego.

I tak patrzyli w dół na ten plac ze staremi, szlachetnemi, szaremi pałacami. Pragnienia i myśli Ammałata i Mar-Molli były jednakowe.

Straszna, burzliwa przeszłość, nasycona śmiertelnemi niebezpieczeństwami, ludzką nienawiścią i zdradą, pozostała w tyle, zginęła, jak zły sen, który rozpłynął się w tej fioletowej poświacie z drżącemi ognikami.

Przed nimi — szczęście.

Takie szczęście, o którem, gdy pomyślisz, serce zamiera w piersi i strach ogarnia. Czyż nie wycierpieli, nie zasłużyli, nie wywalczyli ceną wielkich prób tę swoją miłość? Miłość wieczną, o ile sami są wieczni...

KONIEC

Paryż, w grudniu 1934.

W chwilach
smutku
i radości
„Moje Powieści"
są Twym
najlepszym
przyjacielem!

Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie

Niedziela, dnia 6 grudnia 1936 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Koncert rozrywkowy 10.00 Transmisja nabożeństwa z Wilna 12.03 Poranek muzyczny 14.30 Odgłosy Wileńszczyzny — „Tatary" (z Wilna) 15.00 Recital skrzypcowy Oskara Szumskiego 15.30 Audycja dla wsi 16.30 Fragment słuch. pt. „Zawisza Czarny" 17.00 Podwieczorek przy mikrofonie 19.00 Co to za poeta? — szkic literacki 19.20 Najpiękniejsze tenory — koncert z płyt 21.00 Na wesołej lwowskiej fali 21.30 Koncert z okazji święta narodowego Finalndii 22.10 Wesoły wieczór — wielkie potpourri muzyczne.

Poniedziałek, dnia 7 grudnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Koncert zespołu Pawła Rynasa 12.40 Nie przeciążajmy dzieci pracą — pogadanka 15.15 Fragmenty z oper Donizettiego — płyty 15.55 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci 16.30 Piosenki w wyk. chóru Wiehlera, oraz Zyński i Szpilman 17.15 Koncert kameralny 19.00 Audycja żołnierska 19.30 Koncert muzyki lekkiej 21.00 „Artystyczna dynastia" — wieczór literacki 21.30 Wieczór Schuberta 22.00 Koncert symfoniczny 23.00 Muzyka taneczna.

Wtorek, dnia 8 grudnia 1936 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z Kościerzyny 10.30 Orkiestry salonowe i Billy Mayerl (pianista) 12.03 Koncert symf. z Poznania 14.30 Tańce, pieśni i melodie polskie 15.45 Pamiętny most — słuch. wiejskie 16.35 „Wielkopolski kołowrotek" 10.05 „Dni powszednie państwa Kowalskich" powieść mówiona 17.20 Koncert orkiestry mandolinistów 18.15 Polskie ozdoby na polskiej choince — pog. 18.30 Cztery noce w Tokio — monolog K. J. Gałczyńskiego 18.40 Sonaty skrzypcowe Beethovena 19.00 Dyskutujmy: „Czy kobieta mająca rodzinę powinna zawodowo pracować?". 19.20 Imieniny Marysi — koncert 20.25 Koncert europejski z Anglii 22.00 Kompozycje Jana Sebastiana Bacha 22.30 „Kwadrans poezji ukraińskiej" 22.45 Muzyka taneczna.

Środa, dnia 9 grudnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Zespoły: Ivory Koys i Sandlera — płyty 15.15 Kwintet Stefana Rachonia 16.10 „Zagadka historyczna" — dla dzieci starszych 16.30 Mercedes Capsir — płyty 17.15 Koncert orkiestry kawaleryjskiej 17.50 Rozmowa z Adamem Mickiewiczem — fikcyjny wywiad 19.00 Grzechy dzieciństwa — fragment z powieści B. Prusa 19.20 Polska Kapela Ludowa 20.00 Muzyka salonowa 21.00 „Opowieść o Chopinie" — wieczór 5-ty 21.30 A. Bruckner: Kwintet na 2 skrzypiec, 2 altówki i wiolonczelę 22.10 „Mr. Flick ratuje sytuację" — lekka aud. muzyczna 22.40 Do tańca przygrywa Mała Orkiestra P. R.

Czwartek, dnia 10 grudnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Poranek dla młodzieży 12.03 Zespół Haliny Adamskiej-Grossmanowej 15.15 Z baletów P. Czajkowskiego — płyty 16.20 Chwilka pytań — pog. dla dzieci 16.35 Koncert Orkiestry Reprezentacyjnej K.P.W. 17.00 Na wywiadzie społecznym — pog. 17.15 Koncert kameralny 19.00 Premiera słuch. pt. „Trzecie i ostatnie drzwi" 16.35 „55 minut w Wiedniu" (z Krakowa) 20.30 Program niepodległości przed 100 laty — odczyt 21.00 8-ma audycja z cyklu „Sylwetki kompozytorów polskich 22.00 Koncert orkiestry wileńskiej 23.00 Muzyka taneczna.

Piątek, dnia 11 grudnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Orkiestra Eduerdo Bianco i chór Juranda 15.15 Koncert Małej Orkiestry P. R. 17.15 „Afryka" — reportaż z płyt 19.00 Opowiadanie doktora — fragment z powieści 19.20 Z pieśnią po kraju 19.45 Fragment operowy 20.00 Koncert symf. z Filharmonii Warszawskiej 22.30 Nie tak prędko panie Drucik — skecz 22.45 Muzyka taneczna.

Sobota, dnia 12 grudnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Koncert orkiestry wojskowej 15.15 Najpiękniejsze piosenki z operetek Lehara — płyty 16.15 „W 350 rocznicę zgonu Stefana Batorego — odczyt i transmisja z Zamku Król. w Grodnie 17.00 Koncert solistów 19.00 Audycja dla Polaków zagranicą 19.30 Melodie egzotyczne 21.00 Recital skrzypcowy Borriesa Segfrieda 21.40 Muzyka lekka 22.00 Kukułka wileńska 22.30 Muzyka taneczna.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

„Utęskniona". Ogłoszenie Pani będzie kosztowało 1,25 zł. Pozdrawiamy!



P12/339

Persil
i
Henko
oto dwa środki,
bez których niema
prania!

HUMOR

Dobry sposób

...bo widzi pani, ja tak samo jak pani nie cierpię odwiedzin. Skoro tylko wiem, że ktoś się do mnie wybiera, prędko wychodzę z domu z wizytą.

W zapędzie

— Więc mogę się na to spuścić, że na niedzielę będę miała tę zamówioną cielęcą główkę?

— O, daję swoją w zastaw, pani dobrodziejko!

ZNUDZONY

samotnością kawaler, lat 33, przystojny, wyższe wykształcenie, blondyn Pomorzanin, katolik, właściciel pierwszorzędnego składu kolonialnego i restauracji w dużej wsi kość. i gotówki poszukuje miłej, relig. niebiednej Pani celem ożenku. Łaskawe oferty z fotografią do Działu Ogłoszeń „M. Powieści" pod 33. Rzecz poważna i honorowa, dyskrecja.

MŁODA

panienka poszukuje posady, najchętniej jako ekspedientka lub do bufetu. Dobre świadectwa szkolne. Łaskawe zgłoszenia kierować proszę: Poste-restante Osie, pow. Świecie, Pomorze pod „Utęskniona".

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę mies. 1,00 zł, kwart. 3,00 zł. Pod opaską mies. zł 1,50, kwart. zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 mies. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się. Wystarczy adresować: „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— zł, 1/2 strony 225,— zł i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 31 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie.